Nr. 41. Lwów — Wtorek dnia 19 Lutego. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jako o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy nisłać równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Konrada — Partenya
Jutro: św. Nicefora — Fteodora M.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 8
Zachód „ „ 5 „ 22

Długość dnia g. 10 m. 14
Przybyło dnia od wczoraj m. 4

Przegląd polityczny.

Lwów 18 lutego.

Przed kilku dniami, pisząc o pogmatwanych stosunkach bułgarskich, zanotowaliśmy pogłoskę, jakoby ks. Ferdynand ma zamiar ustąpić z tronu i albo przelać swe prawa na syna Borysa, albo znowu kandydować, ale już za pozwoleniem Rosyi. Ta pogłoska zdawała się tak bardzo prawdopodobną, że przed paru dniami była nawet chwila, kiedy na giełdach mówiono, iż ks. Ferdynand już abdykował; jedni dodawali o nim, że zabezpieczy tron dla niemowlęcego syna, zamianuje regencyą i wyjedzie z kraju; inni zaś utrzymywali, że już wyjechał, a raczej zbiegł do Rumunii, i ci zapewniali jeszcze, iż w Sofii chaos, a na prowincyi trwoga i przygnębienie. Okazało się to fałszem i czy było plotką giełdową, czy — jak sądzą w Sofii — zmyśleniem opozycyi bułgarskiej, aby w ten sposób psuć w Europie zaufanie w trwałość stosunków na Bałkanie, tego nie badano. Zbyto tę pogłoskę żartem: ponieważ teraz w Sofii co wieczór jakiś bal, więc minister Stoiłow, zapytany o źródło takich plotek, odrzekł: „Tańczymy widocznie na wulkanie kłamstw.“ Jednakże, zupełnie pomijając bajki, a uwzględniając jedynie poważne fakty, niepodobna utrzymywać, że stosunki bułgarskie są całkiem pomyślne dla księcia. Pomimo rządowego nacisku na wyborców, dali oni sobraniu około stu zwolenników gabinetu, a około pięćdziesięciu opozycyonistów, między którymi karawełowcy całkiem nie uznają władzy ks. Ferdynanda, a cankowiści, posłuszni wezwaniu swego wodza, zerwali z rządem, jako niedość russofilskim. Dodać jeszcze należy, że spór z Austryą o podatek akcyzowy nie jest załatwiony pomimo bardzo uprzejmej postawy wiedeńskiego gabinetu. W tej kwestyi udał się rząd sofijski pod opiekę Porty, której przesłał memoryał, wyjaśniający prawa bułgarskie, a niesłuszność austryackich pretensyj. Zapewne nic to nie pomoże gabinetowi Stoiłowa, bo tureckie wpływy w Wiedniu nie są wielkie. Ten spór akcyzowy, jeżeli nie będzie załatwiony ugodowo, pozbawi księcia poparcia dyplomacyi zachodniej, a ponieważ w kraju nie zdołał on zorganizować dynastycznego stronnictwa, przeto właściwie władza jego na niczem się nie opiera. Jeżeli w Europie zmienią się ogólne stosunki w taki sposób, o jakim głośno mówią, to bardzo być może, iż ks. Ferdynand pewnego dnia przekona się dobitnie, że na nim osobiście nikomu nic nie zależy. Ten zatem „wulkan kłamstw“, na którym teraz tańczy towarzystwo sofijskie, może jest także wulkanem przeczucia, że przy pewnych, a możliwych zmianach w dyplomatycznych stosunkach europejskich pobyt ks. Ferdynanda w Bułgaryi okaże się niewygodnym.

Te zmiany w dyplomatycznych stosunkach zależą od postawy rządu rosyjskiego. Przypisują mu zamiar zbliżenia się do Niemiec i Austryi, odsunięcia się zaś od Francyi, która jest nieobliczalną. Ale tak samo nieobliczalne są Włochy, jako członek trójprzymierza. Zatem rozumowanie jest takie, że praktyczność polityczna nakazuje Rosyi otrzepać się z francuskiego kurzu, a ta sama praktyczność zaleca Austryi i Niemcom nie liczyć na Włochy. W umysłach dyplomatów już więc nastąpiło teoretyczne rozwiązanie stosunków, które istnieją od 1877, a ich rozwiązanie praktyczne może nastąpić w każdej chwili, skoro tylko Rosya zechce się zbliżyć do obu swych zachodnich sąsiadów. Wtedy wróci związek trójcesarski z jego skutkami, sięgającymi oczywiście aż do Sofii.

Ten zamiar Rosyi zbliżenia się do Austryi i Niemiec, a więc i dogorywanie trójprzymierza jest naturalnie tylko przypuszczeniem. Aby zbadać, o ile mocarstwa trójprzymierzowe są zadowolnione ze swego związku i czy bardzo chcą go utrzymać, puszczono niedawno z Rzymu pogłoskę, że ugody, wiążące Austryę, Niemcy i Włochy aż do roku 1897-go, będą odnowione przedwcześnie, jeszcze w tym roku, przyczem do tych ugód dodane będą konwencye militarne. Zaraz pojawiła się także wbrew przeciwna pogłoska o cichem dogorywaniu trójprzymierza. Zaczęła się tedy dyskusya publicystyczna o tem, jak jest rzeczywiście z tą sprawą, a to zmusiło sfery rządowe do udzielenia publiczności pewnych wskazówek. Odezwał się tedy *Fremdenblatt* z takim komunikatem, otrzymanym jakoby z Berlina: „Głośno roztrząsana sprawa rozwiązania trójprzymierza, albo też odnowienia go, nie ma żadnych podstaw i jest tylko balonem próbnym, wypuszczonym na zwiady, lub też z zamiarem poróżnienia mocarstw trójprzymierzowych. Nie można zaprzeczyć, iż od r. 1891, kiedy ostatni raz odnowiono trójprzymierze, zaszły pewne zmiany w politycznych stosunkach, jednak nic się nie zmieniło w celach mocarstw, które się połączyły dla utrzymania pokoju na warunkach *status quo*. Cel ten osiągano dotychczas skutecznie, zatem nie ma powodu wyrzekać się wypróbowanego środka, zwłaszcza że wszystkie mocarstwa, mające pokojowe cele, mogą przystąpić do tej ligi. Dyskusya o konwencyach militarnych, które mają być jakoby dołączone do ugód trójprzymierzowych, nie ma racyi jeszcze dlatego, że te ugody pozostawiają każdemu sojusznikowi zupełną swobodę w rzeczach, dotyczących organizacyi sił zbrojnych“.

Ten komunikat zaprzecza więc obu pogłoskom, ale jednocześnie przyznaje, że się nieco zmieniły stosunki polityczne, jednak tak, że jest więcej mocarstw pragnących pokoju i że one mogą przystąpić do trójprzymierza. Dniem zaś wprzódy w brukselskim dzienniku *Indépendance Belge*, otrzymującym inspiracye z Petersburga, pojawił się artykuł, zapowiadający stanowczy zwrot w polityce rosyjskiej. Dziennik ten pisze: „Wbrew wszystkim pogłoskom o wciąż zmiennych prądach w Petersburgu, możemy zapewnić, że młody car zamierza wytknąć swej zagranicznej polityce zupełnie inny kierunek. Niebawem okaże on sposobem bardzo stanowczym chęć zbliżenia się do Cesarza Franciszka Józefa i cesarza Wilhelma II. Co więcej, można już przewidywać odtworzenie związku trzech cesarzy, który od 1872 do 1877 kierował wszystkiemi sprawami w Europie. Ostatnia zmiana prezydenta we Francyi, ze wszystkiemi okolicznościami, które jej towarzyszyły, sprawiła w Rosyi niemiłe wrażenie; niewątpliwie to samo odczuwają Niemcy i Austrya, spoglądając na coraz większą słabość Włoch. Sfery dyplomatyczne uznają, że konieczne jest nowe ugrupowanie mocarstw i że ono stało się możliwe dlatego, iż młody car z całą stanowczością zamierza zwrócić wszystkie siły państwowe ku wewnętrznym sprawom, a zewnętrzne, oparte na przyjaźni z Wiedniem i Berlinem, tak uregulować, aby zapewniały Rosyi stały pokój, odpowiadający godności tak wielkiego mocarstwa“.

Między odezwaniem się *Fremdenblattu* a głosem *Indép. Belge*, nie ma zatem zasadniczej różnicy, bo frazesu o słabości Włoch nie można uważać za wskazówkę jakiejś w Petersburgu niechęci do tego państwa; Rosya nie może mieć nic przeciw należeniu Włoch do nowej grupy monarchicznych rządów. Po za tym szczegółem, oba te komunikaty wzajemnie się uzupełniają: pierwszy głosi, że trójprzymierze jedynie pracuje nad utrzymaniem pokoju i do swej spółki przyjmie chętnie każdego, — drugi zapewnia, że car pragnie tylko pokoju i ostentacyjnie okaże chęć zbliżenia się do monarchów Austryi i Niemiec. Ale w tym drugim komunikacie jest na końcu dodatek bardzo naturalny. Oto, Rosya chce pokoju, lecz odpowiadającego jej godności. Zdaje się, że to należy rozumieć jako wskazówkę w stronę Sofii, tam bowiem istnieją stosunki, które Rosya uważa za dowód nieuszanowania jej praw, zdobytych wojną i potwierdzonych traktatem berlińskim. Niezaprzeczenie, Rosya tak przesadnie pojmuje te prawa, że niepodobna uczynić zadość wszystkim jej pretensyom; o tem i mowy być nie może. Ale zwykle stawiane są wielkie żądania, aby podczas targów było z czego ustępować. A jeśli Austrya i Niemcy zechcą przyjąć Rosyę do pokojowej spółki — że zaś zechcą, o tem wątpić nie można — natenczas ofiara z osoby ks. Ferdynanda będzie chyba nie najtrudniejsza. I oto dlatego, rozważając skutki możliwego zbliżenia się Rosyi do środkowej Europy, publicystyka nuci panowaniu ks. Ferdynanda de profundis.

Z teatru wojny chińsko-japońskiej nadeszła wiadomość o nowej klęsce Chińczyków: poddali oni wyspę Liu-kung-tao, na której znajdowały się forty, otaczające twierdzę Wei-hai-wei. Od zdobycia tej twierdzy przez wojska japońskie minęły trzy tygodnie. Część floty chińskiej, nie wzięta wówczas do niewoli, schroniła się pod skrzydła fortów na wyspie Liu-kung-tao i wspólnie z ich załogą walczyła bardzo dzielnie. Odbyło się kilkanaście potyczek, z których oblężeni wyszli pomyślnie, co korespondenci przypisują dzielności europejskich oficerów i podoficerów, kierujących Chińczykami na owej wyspie. Ale oto przed kilku dniami rozszalał się tam straszny orkan, podczas którego zatonęło wiele małych statków chińskich, a flota japońska musiała się cofnąć w głąb zatoki. Nastała noc bardzo ciemna. Chińczycy nie sądzili, aby po wściekłej burzy i w takich ciemnościach Japończycy chcieli rozpocząć bitwę. Spali więc spokojnie. Tymczasem flota japońska w bojowym ordynku cicho przysunęła się do wyspy; dwa torpedowce zuchwale zbliżyły się pod admiralski okręt i rzuciły torpedę. W chwilę potem nastąpił wybuch — i to dla Japończyków było hasłem do boju, który też natychmiast zawrzał na całej linii: flota rzuciła się na flotę, łodzie, spuszczone z transportowych okrętów, wysadziły piechotę japońską na wyspę. A tymczasem pancernik chińskiego admirała Tinga zaczął tonąć. Wprawdzie admirał zdołał wsiąść do czółna i odpłynąć na inny okręt, ale o tem nie wiedziano. Powstał więc popłoch w szeregach chińskich i flota się poddała. A gdy to się stało na morzu, forty już się same utrzymać nie mogły, więc i one złożyły broń. Podobno admirał Ting i jenerał komenderujący fortami, oddawszy nieprzyjacielowi okręta, działa, magazyny pełne wszelkich materyałów i wymówiwszy dla żołnierzy łagod e warunki kapitulacyi, sami zakończyli życie samobójstwem: rozpłatali sobie brzuchy. — Chińska flota już nie istnieje, bo jak się teraz okazało, pod Wei-hai-wei zgromadzone były wszystkie eskadry, jakie posiadało państwo bogdychana; pozostały tylko drewniane statki w Kantonie i Szangayu, pełniące służbę celną.

Ostatnia klęska tak boleśnie dotknęła bogdychana, że manifestem oznajmił ludowi, iż widocznie Budda odwrócił się od Chin, a on sam pewnie jest wielkim grzesznikiem. Potępił także mandarynów i jenerałów, a w końcu oświadczył, że z całej duszy pragnie pokoju. Więc może już rychło skończy się ta wojna, trwająca od 12-go lipca.

Rezolucya o kwestyi cylejskiej.

Piszą nam z Wiednia, 16 lutego:

Uchwalona wczoraj przez sejm styryjski w nieobecności 8 Słoweńców jednomyślnie rezolucya w sprawie zapowiedzianego nowego gimnazyum słoweńskiego, jest ze wszech miar ciekawym wypadkiem. Wzywa ona rząd, aby w myśl swego programu „przy rozwiązaniu kwestyi założenia nowego gimnazyum w Cylei i w ogóle przy rozporządzeniach, sprowadzających zmianę co do stanu szkół średnich w południowej Styryi, zawsze uwzględniał obznajomioną z lokalnymi stosunkami władzę szkolną krajową i czyniąc zadość uznanym potrzebom Słoweńców, nie naruszał pożądanej czynności zakładów naukowych w interesie obu narodowości, ani też nie zakłócał spokoju narodowego w kraju“.

Rezolucya ta jest owocem kompromisu pomiędzy stronnictwem katolicko-konserwatywnem, na którego czele stoją tam tak znakomici mężowie, jak ks. Alfred Liechtenstein, rozważny starszy brat Alojzego, i kanonik Karlon, ze stronnictwem liberalnem. Nie zawiera ona wprost protestu przeciwko założeniu gimnazyum słoweńskiego w Cylei. Aczkolwiek bowiem § 11, litera i) konstytucyi z r. 1867 do kompetencyi Rady państwa zalicza tylko „ustanowienie zasad nauki w szkołach ludowych i gimnazyach, tudzież prawodawstwo o uniwersytetach“, z czego więc pośrednio możnaby wyprowadzić wniosek, że, jak zakładanie szkół ludowych, tak też zakładanie gimnazyów należy do kompetencyi sejmów krajowych, to jednak dotąd de facto zakładanie szkół średnich przysługuje centralnej władzy wykonawczej pod kontrolą Rady państwa. Z tego wynika, że sejm krajowy nie może też uchwalić protestu przeciwko założeniu pewnego gimnazyum.

Natomiast niewątpliwie sejm krajowy w tej, jak w każdej innej publicznej sprawie, może wygłosić życzenie w formie adresu, rezolucyi i t. d. Korzystając z tego prawa sejm styryjski wypowiedział wczoraj życzenie, aby rząd w znanej kwestyi uwzględnił przedewszystkiem zdanie Rady szkolnej krajowej. Jako autonomiści, nie możemy inaczej, jak godzić się na to życzenie. Minister oświecenia w znanej mowie, wygłoszonej r. z. w rozprawach nad budżetem, oświadczył, że w podobnych sprawach pragnie przedewszystkiem uwzględniać propozycye sejmów krajowych i tem oświadczeniem zjednał sobie huczne oklaski wszystkich szczerych autonomistów. Z tego punktu widzenia i my zapatrujemy się na tę kwestyę.

W praktyce w danym razie oczywiście uwzględnienie zdania styryjskiej Rady szkolnej krajowej oznacza, że gimnazyum słoweńskie nie powstanie w Cylei, lecz w innem mieście Styryi południowej. Skoro więc konserwatyści, i to wpływowi członkowie klubu hr. Hohenwarta, głosowali za tą rezolucyą, świadczy to bardzo dobitnie, że klub ten nie powziął bynajmniej uchwały, aby gimnazyum słoweńskie było założone koniecznie w Cylei. Gdyby bowiem wymieniony klub był powziął uchwałę tego rodzaju, ani kanonik Karlon, ani Kaltenegger i inni jego członkowie nie byliby głosowali wczoraj za rezolucyą, która w dyplomatycznej formie, jednak bardzo wyraźnie oświadcza się przeciwko takiej kombinacyi. I w tym razie więc zupełnie się sprawdziły nasze przewidywania. Już w listopadzie r. z. wypowiedzieliśmy zdanie, że niemieccy konserwatyści zapewne kwestyi założenia gimnazyum słoweńskiego w Cylei nie postawią jako *conditionem sine qua non*.

Oczywiście dla słowianofilów à outrance jednomyślna uchwała sejmu styryjskiego będzie tylko nowym dowodem, że wszyscy Niemcy są w obec Słowian ciemiężycielami etc. Jednakże takiemi dźwięcznemi frazesami nie można rozwiązywać skomplikowanych kwestyi austryackich. Pomijając bowiem fakt, że Słoweńcy mają paralelki słoweńskie przy gimnazyach w Maryborzu, Niemcy styryjscy nie opierają się zasadniczo założeniu drugiego gimnazyum słoweńskiego w południowej Styryi. Sprzeciwiają się tylko temu, aby ono powstało w Cylei, które to miasto od niepamiętnych czasów jest przeważnie niemieckiem i które więc pragną ochronić przed zesłowiańszczeniem. Czy istotnie założenie gimnazyum słoweńskiego sprowadziłoby taką, mówiąc z niemieckiego punktu widzenia, katastrofę? — to inna kwestya. Nam zdaje się, że te obawy są przesadne. Skoro jednak ludzie tak umiarkowani w swych niemieckich przekonaniach, jak ks. Liechtenstein, kanonik Karlon i dziesiątki ich towarzyszy katolickich, podzielają takie obawy, to muszą one być bardzo rozpowszechnione pomiędzy Niemcami styryjskimi.

Występować więc w tej kwestyi stanowczo za życzeniem Słoweńców, znaczyłoby to wystąpić stanowczo przeciwko Niemcom. Ale taka wyłącznie słowiańska, a antiniemiecka polityka sprzeciwiałaby się wszelkim zasadom i tradycyom naszej parlamentarnej taktyki. Posłowie polscy zawsze uznawali historyczną pozycyę Niemców w Austryi. Takiej ugruntowanej zwłaszcza w tak zwanych „dziedzicznych prowincyach“ domu habsburskiego od 7 wieków pozycyi, nie można nagle zmieniać gwoli najpiękniejszym hasłom. Szujski o równouprawnieniu zauważył: „ten wyraz wytłómaczyć można, jak się podoba; można np. powiedzieć, że on dziś znaczy: demokracya przyszłości“ (w tece Stańczyka str. 107), a hr. St. Tarnowski przed kilku laty w sejmie lwowskim wygłosił znakomitą mowę, w której wykazywał niepodobieństwo i niesłuszność absolutnego równouprawnienia.

3)

Nasze dotychczasowe wiadomości o cholerze.

Napisał **dr. Wojciech Urbański.**

(Ciąg dalszy).

Jeśli się wszystkie inne przy tych rozkładach w chorym ustroju ludzkim prócz tego jeszcze utworzone i z przemiany materyj w toku procesu życia pochodzące, mniej lub więcej trutkowe produkta weźmie pod rozwagę i uwzględni tę okoliczność, iż zazwyczaj w niektórych przypadkach choroby więcej, w innych zaś mniej toxyn albuminowych się wyrabia, można różnice w klinicznym (chorobowym) obrazie rozmaitych jego zatruć zachodzące, łatwo wytłumaczyć i nie dziwić się wcale, jeśli czasem lekarz nie wprawny w poznawaniu chorób, zatrucie, po spożyciu zgniłych ryb lub źle uwędzonej szynki westfalskiej powstałe, albo po rozgospodarowaniu się w jelitach streptokokków jadowitych spowodowane, weźmie za cholerę, w innym zaś przypadku znowu odwrotnie sobie postąpi, jak się to już nie raz i nie jednemu przytrafiało. Dr. Beck, asystent dra Kocha miał w Berlinie w r. 1892 podczas cholery tamże 44-letnią kobietę w kuracyi, u której wszystkie oznaki cholery azyatyckiej na jaw wystąpowały a w jej dejektach nie było żadnych bakcyllów Kocha, tylko massy streptokokków które, zaszczepione zwierzętom, śmierć im w 24 godzinach sprowadzały. Kobieta umarła, a we krwi i w różnych częściach jej ustroju znachodziły się te same bakterye. Było tu więc zatrucie streptokokkami, które w zdrowych jelitach żyją zwykle jako niewiniątka, w danym zaś przypadku stały się jadowitymi mikrobami i sprawiły chorobę śmiertelną, do cholery całkiem podobną, której obraz kliniczno-typowy (wzór dobrze znany lekarzom i służbie w szpitalach) wiernie przedstawiał wizerunek cholery azyatyckiej. O podobnym przypadku w Hamburgu, który też śród ciężkich przypadłości cholerycznych w 24 godzinach śmiercią się zakończył, wspomina dr. Deycke, a o innym takim samym (podczas epidemii w Hamburgu) dr. Kirchner. W obu tych ostatnich, także śmiertelnych przypadkach niebrakło żadnego typowego symptomu klinicznego cholery, tylko zamiast bac. Kocha, znaleziono także ogromne ilości streptokokków i „bac. col commune“, zgnilinkę w jelitach ludzkich pospolitą. Choroba więc i tu z zatrucia temi bakteryami, z niewiadowego powodu w bakterye toxynowe zamienionemi, powstać a przynajmnej wyrobić się musiała...

Bardzo ciekawe i wielce pouczające te zdarzenia służą szkole wiedeńskiej (prof. dr. Draschemu i Strickerowi) za główny zarzut przeciw bakcyllowej teoryi cholery azyatyckiej. Krytyka zawsze i wszędzie jest potrzebna i pożądana, ale krytyk zawsze też pamiętać powinien, iż „daleko łatwiej jest krytykować, aniżeli coś nowego uformować“.

Jak bakcylle Kocha w dejektach chorego, na typowe przypadłości choleryczne cierpiącego, przy stawianiu dyagnozy cholerę azyatycką dokumentują, brak zaś ich w podobnym klinicznym wypadku zdaniem berlińskiej szkoły cholerynę (chol. nostr.), która bywa nieraz także śmiertelną — tak samo nadmierna ilość streptokokków jadowitych przy zupełnym braku bakcyllów chol. u chorego — streptokokkinę lub może króciej streptynę, deklarować powinna. (Logika przedewszystkiem).

Choroby tej powstawanie, leczenie, tudzież różnice od innych klinicznie podobnych chorób bakteryjnych prawdopodobnie oznaczą dopiero klinicy w szpitalach zatrudnieni, którym przypadnie także praktyczne zadanie wytłumaczenia w ostatnich epidemjach bardzo często spostrzeganych przypadków ciężkiej choroby, zwykle śmiercią się kończącej, gdzie przez cały ciąg krótkiej zazwyczaj choroby, albo wcale żadnych bakcyllów chol. nie było, albo bakcylle te dopiero na drugi lub trzeci dzień po rozpoczęciu choroby się pojawiły, potem na 24 do 36 godzin znikały i przed samą śmiercią znowu wykazać się dały, tudzież rozwiązanie innych także podobnych zagadnień, które teraz za wyjątki od stwierdzonych powszechnie wypadków uchodzą i przez antagonistów Kocha za argumenta przeciw jego bakcyllowej teoryi cholery wyzyskiwane bywają...

W powyższym wykładzie mieści się już w części odpowiedź na pierwszą część IIIgo zagadnienia. Bakcylle chol. dostawszy się do jelit człowieka znachodzą tam wyborną temperaturę i najczęściej odpowiedni zasób potrzebnych dla siebie pożywek, tudzież wszelkie inne warunki do czasu i jad swój właśnie wybuchem choroby dokumentują, z początkiem której jednak same z dejektami ryżowemi odchodzą, co oznacza, iż w stanie chorego ustroju zaszły od razu pewne zmiany, które byt ich tamże nadal w tej powiększonej ilości uniemożliwiają, gdyż ciało chorego stało się dla nich na dalszą hodowlę mniej użytecznem. Gdy zaś w stanie chorego nastąpi stała zmiana na lepsze, czyto wskutek pomniejszania się ilości bakcyllów w jelitach, czy osłabienia wyrobu przez nie toxyn tamże, lub nawet częściowego uśmiercania ich wskutek powstających ptomain zabójczych, lub jakichkolwiek innych powodów osłabienia ich biozy, (procesów życia) z dejektami prawdopodobnie oprócz żywych baccyllów odchodzą także uśmiercone i do niepoznania zmienione, póki nareszcie i tamte już więcej pojawiać się nie przestaną i rekonwalescent, powróciwszy do zdrowia, nie stanie się nadal do pewnego czasu zabezpieczonym od cholery dla siebie i dla drugich czyli t. z. „immunem“. Jestto zwykły i najczęściej obserwowany przebieg cholery, która nie kończy się śmiercią.

Wypadki jej śmiertelne z kilkogodzinnym tylko przebiegiem i bez wszelkiego śladu bakcylów cholerycznych, które w ostatnich epidemiach r. 1892 i 1893 częściej obserwowano, dalszych jeszcze badań do należytego wytłumaczenia swego potrzebują.

Co się zaś tyczy czasu, jak długo choleryczne prątki w jelitach chorych na cholerę, a potem w czasie rekonwalescencyi po przebytej chorobie w całej (lub zmienionej?) pełni swego jadu i zaraźliwości (wirulencyi) utrzymują się jeszcze w dejektach już regularnie wyglądających i wykazać się dają na podłożach probierczych, kwestyą tą dopiero podczas zimowej epidemii w Hamburgu-Altonie systematycznie zajmować się zaczęto i czas o okupacyi jelit ludzkich przez te patogeniczne grzybki z jadem ich specyficznym na 6 do 10, a później na 14 do 18 dni ustanawiano. Epidemie zaś jesienne r. 1893 w Liwornie i Szczecinie posłużyły do gruntowniejszego zbadania tej ciekawej i dla epidemiologii nadzwyczaj ważnej kwestyi. Dr. Ferni i Pellegrini w 22 należycie obserwowanych przypadkach w Liwornie przyszli do przekonania, iż czas ten do 10 dni w 6 wypadkach, w jednym zaś do 21 dni po pierwszym napadzie cholerycznej biegunki dochodził. Pod tym względem obserwacye ich zgadzają się z onemi Frankla, który 18go dnia przy sekcyi trupa znalazł takie wibryony w jelitach zmarłego na cholerę, tudzież podaniem Mecznikoffa, który u człowieka, samochcąc w laboratoryum bakteryologicznem, zatrutego kulturą choleryczną, tożsamo jeszcze w dniu 19tym po zrobionej próbie żywe przecinki (com. bac.) Kocha znachodził. Nareszcie przy znanych eksperymentach Emmericha i Pettenkofera na sobie samym zrobionych dla skonstatowania o ile ich własne jelita są przydatne do hodowania kommabakcillów Kocha, znajdowano je w dejektach po spożyciu kultury jeszcze w dniu 11tym a względnie 8ym.

W Szczecinie, podczas epidemii r. 1893 w jesieni, pomiędzy ubogą ludnością blisko portu mieszkającą, robił dr. Kolle z dr. Dellinem co dzień staranne badania nad dejektami 50 chorych na cholerę a późniejszych rekonwalescentów i znachodził u nich zawsze prątki choleryczne Kocha co najmniej przez 7 do 9 dni, u 30 przez 10 do 20, a u 4 od 22 do 28 dni, u jednego zaś rekonwalescenta jeszcze w 48ym dniu (!) po piewszych pewnych oznakach zachorowania na cholerę. Tak długiego czasu hodowli baccyllów cholerycznych w jelitach ludzkich nikt więcej nie obserwował, oprócz dr. Doenitza, profesora na uniwersytecie w Bonnie, który w jesieni r. 1893 u 71-letniej staruszki, zamieszkałej w papierni na Solingen koło Bonnu, zapadłej na cholerę w d. 4 września, w dejektach już całkiem normalnie wyglądających, jeszcze 25 października znachodził bakcylle Kocha z mało co zmienionym jadem wobec biednych świnek morskich. U rekonwalescentki tej od 15 października w pewnych dniach nie było już można znaleźć baccyllów w dejektach, które dopiero po dniach 10ciu całkiem i niepowrotnie znikły. Hodowała więc ona te wrogi ludzkie w swoich jelitach przez 52 dni! Tyle czasu nie potrzeba dziś na „podróż dokoła świata.“ Dr. Kolle badał w czerwcu 1893 także dejekta samego prof. dr. Pfeiffera, który przy próbach w swojem laboratoryum w Berlinie zaraził się był kulturą, z Hamburga otrzymaną i już drugiego dnia potem zarażeniu w ryżowych swych wydzielinach znachodził bakcylle Kocha. Po zażyciu wielkich dawek kalomelu znikały one całkiem w dejektach, ale po zaprzestaniu zażywania tego lekarstwa znowu się pokazywały i można je było napotykać tam do 20 dnia zapomocą metody żelatynowej (licząc czas od pierwszego dnia choroby) a do 33 dnia, używając metody peptynowej. Wydzieliny były z początku ryżowo dyaryjne, od 15 dnia choroby czasami normalnej konsystencyi, od 25 zaś dopiero całkiem normalne. Jak małe ilości zarazka cholerycznego wystarczają już do zarażenia się cholery, okazuje ten przykład na prof. Pfeifferze, który jako biegły mistrz w bakteryologii, umiał być ostrożnym przy robieniu doświadczeń, a przecież nie ustrzegł się zarazy. Także dr. Pfuhl zachorował był na cholerę we wrześniu 1893, robiąc zwykłe próby bakteryologiczne na zwierzętach. U niego przeszła cholera lekko; przez 8 dni jednak można było w jego dejektach zrazu ryżowych, potem konsystentnych odosobniać z łatwością bakcylle Kocha, które wobec świnek morskich posiadały zwykłe własności jadu cholerycznego. Po takiem rozwiązaniu postawionej kwestyi uzasadnionem jest twierdzenie, iż człowiek po przebyciu cholery gdzieś w dalekiem miejscu na Wschodzie, jako rekonwalescent zdrów jest zupełnie, może odbyć podróż do Europy, w drodze bez wiedzy i woli potworzyć większe lub mniejsze gniazda epidemii cholerycznej i przywieść chorobę z sobą do rodzinnego miejsca, do własnego domu... na rozsadnika dalszej epidemiii. Takim sposobem przy zbiegu nieszczęśliwych okoliczności szerzy się też zazwyczaj każda epidemia choleryczna od domu do domu, od wioski do wioski, od miasta do miasta, piechotą, wózkiem i koleją żelazną, jeśli policya zdrowia nie spełnia swego obowiązku wobec przybyszów z miejsc zacholerzonych i jeśli rekonwalescentów ze szpitalów i stacyj obserwacyjnych dla zrobienia miejsca innym wydalają za wcześnie, nie objaśniwszy ich należycie, jak się ze swojemi wydzielinami nadal zachowywać mają przynajmniej ze 4ry tygodnie po wypuszczeniu na wolność. Konferencya przeto drezdeńska ze swojem ustanowieniem pięciodniowego okresu prewencyjnej obserwacyi chybiła celu zupełnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bądź co bądź, występować stanowczo pod wspólnym sztandarem słowiańskim przeciwko Niemcom austryackim, którzy w takim razie z pewnością wystąpiliby solidarnie (jak wczoraj w sejmie styryjskim), znaczyłoby wywołać walkę na zabój, wstrząsnąć podstawami państwa, przygotować po prostu jego rozkład. Na taką hazardowną grę mogą się zdobyć ci Słowianie, którzy gotowi po upadku Austryi szukać innej przystani, ale nam nie wolno brać udziału w takiej grze. Prawda, że kwestya cylejska sama przez się jest zbyt drobna, aby mogła się z niej wywiązać owa powszechna walka Słowian z Niemcami w Austryi. To też przytaczamy ją tylko na przykład. Ex ungue leonem! My w takich kwestyach możemy tylko, jak dawniej, zajmować polskie, a więc pośredniczące stanowisko, a nie możemy podporządkowywać naszych interesów, których główným celem jest utrzymanie ile możności potężnej Austryi, pod widoki problematycznej polityki słowiańskiej.

Niewątpliwie, gorętszym pomiędzy nami takie rozumowania utrudniają przykrości, jakich ziomkowie nasi doznają w Prusiech. Jednak najprostsza logika prowadzi do wniosku, że, im gorzej dzieje się nam w Prusiech, a zwłaszcza w Rosyi, tem bardziej we własnym interesie musimy dbać o potęgę Austryi, któraby niechybnie upadła, gdyby się tutaj wywiązała walka wszystkich Słowian przeciwko Niemcom.

Korespondencye.

Nizza w lutym.

Tegoroczna zima srogo się dała we znaki południowej Europie, zwłaszcza całe francuskie wybrzeże morza Śródziemnego leży pod śniegiem. Marsylia jest otulona w takie masy śniegowe, że ruch pociągów często bywa przerywany. Nawet Nizza, ta rozkoszna zwykle Nizza przebyła szereg dni smutnych, chmurnych, słotnych i mroźnych, woda marzła po rynsztokach, a w pierwszych dniach stycznia sypnął tak gęsty śnieg, że kilkocentymetrową warstwą pokrył okolicę. Chłopcy mieli nie małą pociechę, lepiąc kule i tocząc wały z tego niezwykłego tu materyału. Za to starsze pokolenie nizzejczyków, więcej dbałe o swe kieszenie, mocno się trapiło niepogodą, odstraszającą gości i wszelkiemi sposobami starali się przekonać siebie i świat, że właściwie pogoda nie pozostawia nic do życzenia, jeden też z tutejszych dzienników *L'Eclaireur* w tej pobożnej intencyi w następujący poetyczny sposób opisał wspomnianą śnieżycę:

„Kilka różowych chmurek o paręset metrów ponad naszemi głowami upuściło parę dni temu garść drobniutkich gwiazdek, ale to podobieństwo do złego powietrza znikło natychmiast przed rozkosznem słońcem“. Trudno o większy optymizm; jednakże to nastrój tylko oficyalny, na eksport przeznaczony, w rzeczywistości bowiem wśród nicejczyków panował cierpki pessymizm.

I nic dziwnego; dla tutejszych mieszkańców kwestya pogody, to kwestya życia, skoro zimno i deszcze przepłoszą im gości, odbierają im zarazem wszelkie dochody. To też dziwić się nie można, że biedacy, ratując się przed ruiną, są jak tonący, który brzytwy się chwyta, i wpadają na niestworzone koncepta, aby ukryć niepogodę nietylko przed tymi poza Nizzą, którzy w przeciwnym razie tu by ściągnęli, ale nawet przed takimi, co się już w Nizzy znajdują, aby nie uciekli. Jeden z zamieszkałych tu Polaków właśnie podczas owych dotkliwych zimn znalazł się raz w sklepie znajomego swego optyka i zauważył, że wystawiony tam termometr pokazuje temperaturę o cztery stopnie wyższą, niż jego własny w domu, kupiony właśnie w tym sklepie. Wyraził więc swoje zdziwienie właścicielowi handlu. „Ależ panie — odpowiedział ten z przebiegłym uśmieszkiem — przecież to termometr dla naszych gości“.

Tem większą była radość, jaką sprawiła tu zapowiedź przyjazdu królowej angielskiej. Co roku spędza ona miesiąc na lądzie stałym, odpoczywając po trudach rządzenia, które zwłaszcza w obec uciążliwej etykiety na dworze angielskim, są istotnie niemałe. Tym razem wybrała królowa Nizzę, a z nią wraz spadnie tu ćma Anglików, którzy przecież mają pieniądze i płacą chętnie. Od pewnego czasu poczęli oni mniej napływać do Nizzy: odciągnął ich Egipt. Cudowna pogoda egipska, urok niezwykłych widoków natury, tajemnicze wspomnienia przeszłości zamierzchłej, wreszcie przyczyna prozaiczna, ale ważna: przepych i najwyszukańsze wygody w hotelach egipskich, wszystko to sprawiło, że całe zastępy ich, owi *lords and ladies* jak dawniej tutaj, tak teraz zdążają — pod piramidy! Ale skoro królowa dała pierwszeństwo Nizzy, więc za nią zjawi się w niej kwiat towarzystwa angielskiego.

Królowa przybędzie w marcu, a już oddawna przygotowują dla niej mieszkanie w Hôtel de Cimier, okoliczne ogrody wynajęto, połączono je w jedną całość z hotelowym i zamieniono w park, po którym będzie mogła królowa do woli używać swobodnej przejażdżki na swym wózku, zaprzężonym w ulubionego osiołka Jocko.

Niedawno odbył się tu pogrzeb znanej z dobroczynności hr. Ongran. Umarła licząc dopiero 36 lat, a pozostawiła po sobie wspomnienie wielkiej dobroci. Historya życia hrabiny to jedna z tych romantycznych, ale zarazem pięknych kart, jakich w prozaicznej książce naszego życia tak mało. Jestto jakby parafraza „Madame sans Gêne“ Sardou, tylko z wojennej na pokojową nutę przełożona. Hrabina Aniela d'Ongran w czasach swego panieństwa zwała się Katarzyną Seossan i była w Nicei — praczką, dziewczyną biedną, ale jak łza czystą. Do jej klientów należał — tym razem nie żaden oficer artyleryi lub sierżant gwardyi — tylko stary bogaty kawaler p. T., który był wprawdzie bardzo grzecznym dla Katarzyny, ale poza tem mało zwracał jak się zdawało na nią uwagi. Zresztą wszyscy wiedzieli, że ten milioner zamierza zapisać olbrzymi swój majątek na cele dobroczynne. Ale stanęła temu na przeszkodzie drobna na pozór okoliczność. Było to w czasach kiedy Nizza nie miała jeszcze głośnego dziś kasyna i domu gry w niem, ale dopiero naradzano się nad jego budową. Wybrano plac przed domem p. T. Przeciw temu projektowi zaprotestował on przed Radą miejską, prosząc, aby mu budowlą nie zasłaniano widoku z jego okien, którym chciałby się do końca życia cieszyć. Ale żądaniu temu odmówiono a T. nie mówiąc nikomu, zniszczył gotowy testament, mocą którego zapisywał miastu 13,000.000 franków, na cele dobroczynne, a cały majątek pozostawił Katarzynie Seossan. Właściwie zaś zmienił tylko formę a nie treść testamentu, bo znając biedną a dobrą dziewczynę, wiedział, że zapisem nietylko ją uszczęśliwi, ale nadto że majątek w jej ręku większe zapewne odda usługi prawdziwie biednym, niż w zarządzie miasta.

Można sobie wyobrazić powszechne zdziwienie, kiedy otwarto testament p. T. Wszędzie mówiono tylko o Katarzynie Seossan, a rodzina p. T. oddawna osiadła i znana w Nizzy użyła wszelkich sposobów i wybiegów prawnych, aby obalić testament, ale akt był tak wybornie ułożonym, iż to się okazało niepodobieństwem. Około bogatej dziedziczki a dawnej praczki, zaroiło się od konkurentów, a ona idąc za popędem serca, wybrała wśród nich meża, w osobie hrabiego d'Ongran de Santa Sauver. Po ślubie już pobierała lekcye francuskiego języka i sposobu zachowania się, zwyczajów, obyczajów i manier — zupełnie jak w „Madame Sans-Gêne“, lecz bez owej przymieszki komizmu, wynikającego z zamaszystego temperamentu bohaterki dramatu Sardou. Hrabia d'Ongran nie zawiódł się na swojej wybranej, była to dobra żona, wyborna matka i prawdziwa opatrzność dla biednych.

Obecna pora dla tutejszych okolic, to czas podwójnego sportu. W Nizzy odbywają się wyścigi, a okoliczna ludność zabawia się walką byków. Przy tej szlachetnej zabawce zdarzają się często przykre wypadki i to przeważnie poza areną, kiedy już wypuszczą z niej zwierzęta. Wtedy za przestraszonymi bykami pędzi zgraja młodzieży, pieszo i na koniach, z krzykiem: „li bivou an escapa“, byki uciekły! — smagając je batami, okładając kijami, ciskając w nie kamieniami. Wystraszone, rozfukane bydlęta, zdoławszy w końcu ujść przed prześladującą je dziczą, często błąkają się wśród pól i po drogach, na których prawdziwe dla przechodnia stanowią niebezpieczeństwo. Tego roku jeden z takich byków, wpadłszy rozjątrzony pogonią do miasteczka Tarascon nad Rodanem, w chwili gdy mieszkańcy tamtejsi gawędzili sobie, siedząc spokojnie wieczorem przed domami, spowodował nadzwyczajny popłoch — zraniwszy kilka osób, między innemi dość ciężko pewną dziewczynę. Schronił się w sąsiednie góry, gdzie w kilka dni potem został zastrzelony. Poturbowana dziewczyna zapozwała przed sąd gminę Bellegarde, gdzie się odbywało igrzysko — i sąd przyznał jej właśnie parę dni temu ośmset franków odszkodowania.

Wyścigi, które odbyły się w dniach od 19 do 30 stycznia podobnie jak zeszłoroczne nie cieszyły się takiem powodzeniem jak dawniej głównie dzięki zatargowi między komitetem wyścigowym a reprezentantami tutejszych dzienników. Sportsmeni tutejsi, którzy nawiasem powiedziawszy nieporównanie niżej stoją od towarzyszy z pod tego samego sztandaru po innych miastach upatrzywszy sobie coś do tutejszych dziennikarzy, oświadczyli, że nie wydadzą im inaczej biletów wstępu na wyścigi jak tylko pod warunkiem, że się pozwolą odfotografować, wrzekomo dla kontroli, aby za biletem dziennikarskim nie wszedł kto inny.

Był to naturalnie pretekst do zrobienia niegrzeczności reporterom, którzy tu tak są znani, że nikt nie potrzebuje mieć ich fotografii, aby wiedzieć, że to dziennikarze. Pisma więc tutejsze oświadczyły, że jeśli tak, to one nie przyjmą wcale biletów, bo nie widzą potrzeby dawania ze swej strony poręki aż w formie fotografii, skoro się nie fotografują mające takie same bilety całe zastępy sportsmenów i ich zaproszonych gości — nie cieszących się nieraz najlepszą opinią. I tak nastąpiło zerwanie. Zdaje się, że rzecz poszła o tych właśnie dwuznacznych gości. Pisma parę razy wystąpiły przeciw wprowadzaniu na tor pewnych osóbek, które odstręczają od wyścigów dobrane towarzystwo. Komitet, któremu się ta krytyka nie podobała, zemścił się na dziennikarzach owem postanowieniem, ale niepowodzenie wyścigów zdaje się, przekona go, że najbardziej sobie zaszkodził.

KRONIKA.

Lwów 18 lutego.

Wieczór parlamentarny. Dnia 19go bm. jako w dniu zebrania się Rady państwa urządza książę Windischgrätz wielki wieczór na 1600 osób. Jako odpowiedź na tę „polityczną demonstracyę“ prezydenta ministrów, aranżują wiedeńscy socyalni demokraci równocześnie kilka zebrań z tendencyą zwróconą przeciw sferom rządzącym.

Mianowania. Radzca sądu krajowego w Tarnopolu, Mateusz Tupec, otrzymał przy sposobności przejścia w stan spoczynku tytuł radzcy sądu wyższego.

Stypendyum. P. Romuald Makarewicz, dyrektor Towarzystwa prywatnych oficyalistów, nadał stypendyum w kwocie 100 zł. z fundacyi swego imienia Elżbiecie Sankowskiej, sierocie po prywatnym oficyaliście, uczenicy szkoły ludowej w Brzeżanach.

O. Waleryan Przewłocki, jenerał zakonu Zmartwychwstańców, o którego chorobie przed kilku tygodniami donieśliśmy, ma się znacznie lepiej dzięki panującej w Rzymie pięknej pogodzie 16 ciepła i zbliżającej się wiośnie.

Obywatelstwo honorowe nadała Rada miasta Brzeżan JE. p. Namiestnikowi Kazimierzowi Badeniemu.

Intronizacya Księcia biskupa Jana Puzyny w Krakowie. Wczoraj w starej katedrze wawelskiej odbyła się uroczysta intronizacya nowomianowanego księdza biskupa krakowskiego ks. Jana z Kozielska kniazia Puzyny. W akcie tym wzięli udział ks. arcybiskup Morawski, biskup przemyski ks. Łukasz Solecki, sufragan przemyski ks. dr. Glazer, infułat tarnowski ks. Walczyński, delegowany przez biskupa tarnowskiego ks. Łobosa, który z powodu słabości nie mógł sam wziąć udziału w tej uroczystości. Oprócz dostojników kościelnych przybyli na tę uroczystość: minister oświaty dr. St. Madeyski i JE. p. Namiestnik Kazimierz hr. Badeni.

Na odgłos wszystkich dzwonów w kościołach krakowskich przybyły na Wawel procesye ze wszystkich kościołów parafialnych i zakonnych i ustawiły się na dziedzińcu zamkowym. Kapituła katedralna, proboszczowie, duchowieństwo świeckie, zakonne i alumni seminaryum duchownego oczekiwali przybycia księcia biskupa przy pierwszej bramie na Wawelu; tu również czekała cała asysta. O godzinie 9 przyjechał książę biskup i od bramy poszedł pieszo poprzedzony duchowieństwem i kapitułą do katedry. W czasie procesyi chór odśpiewał hymn do św. Stanisława biskupa *Gaude Mater Polonia*. W drzwiach głównych katedry zatrzymał się ks. biskup i tam po stosownej ceremonii, ks. prepozyt kapituły podał mu na tacy klucze katedry Wawelskiej i wprowadził procesyonalnie do kościoła przy śpiewie *Ecce Sacerdos magnus*. W katedrze ks. biskup wstąpił do kaplicy Najśw. Sakramentu, skąd udał się do grobu św. Stanisława a następnie do wielkiego ołtarza. Po skończonym śpiewie archidyakon odśpiewał z pontyfikału: *Protector noster adspice Deus* i t. d. wraz modlitwą: *Deus omnium fidelium pastor* i t. d.

Po tej modlitwie odśpiewał chór antyfonę: *De titulo ecclesiae Cathedralis* o św. Wacławie. Podczas tego ks. biskup wstąpił na tron i ubrawszy się w pontifikalia udał się do ołtarza wielkiego, poczem w mitrze i z pastorałem wrócił na tron. Tymczasem ksiądz kanclerz stojąc na najwyższym stopniu ołtarza, odczytał *Breve* papieskie w języku łacińskim i polskim. Następnie ks. wikaryusz generalny powitał w imieniu całego duchowieństwa ks. biskupa krótką przemową, na którą ks. biskup odpowiedział. Zaraz potem chór rozpoczął hymn dziękczynny: *Te Deum laudamus* — podczas którego duchowieństwo całe złożyło tak zwaną *obedyencyą* czyli *homagium* swemu pasterzowi. Potem ks. biskup przywdział ornat i przystąpiwszy do ołtarza odprawił mszę św. Po ewangelii zamiast kazania, odczytano z ambony list pasterski — poczem książę biskup z tronu krótko przemówił do ludu.

Po ingresie odbył się obiad na 110 nakryć w pałacu biskupim. Równocześnie w klasztorze sióstr Miłosierdzia starym obyczajem chrześcijańskim dla upamiętnienia tego dnia ugościł ks. biskup 500 ubogich miasta Krakowa.

Wieczorem całe miasto było iluminowane.

Konkursa. Rady szkolne okręgowe w Krośnie, Mielcu i Nadwórnej rozpisały z terminem do 20 marca b. r. konkurs na kilkadziesiąt posad nauczycielskich. — Rektorat politechniki lwowskiej ogłasza z terminem do 23 bm. konkurs na posadę asystenta przy katedrze fizyki z roczną płacą 600 złr.

Pomnik Mickiewicza. *Czas* otrzymał następujący komunikat: Komitet pomnika Mickiewicza na posiedzeniu, odbytem dnia 14 b. m. rano, uchwalił zaprosić do swego grona na piąte opróżnione miejsce hr. Edwarda Raczyńskiego, prezesa Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, po południu zaś już w obecności świeżo proponowanego członka powziął następujące uchwały:

1) zażądać od p. Rygiera usunięcia napisu fryzowego w sposób, jaki na jego wniosek oznaczy komitet; 2) uprosić kilkunastu znanych polskich miłośników i znawców sztuk pięknych o wydanie kategorycznej opinii, czy można przyjąć figurę Mickiewicza, czy też należy ją odrzucić. Przytem postanowiono prosić o umotywowanie sądu i o ogólne zdanie o całym pomniku.

Po nadejściu odpowiedzi, komitet zbierze się ponownie w przeciągu kilku tygodni, celem powzięcia ostatniej decyzyi. Do tej chwili pomnik pozostanie odsłoniętym.

Sprostowanie. Otrzymujemy następujące pismo z Drohobycza: W myśl § 19 ustawy prasowej upraszam o łaskawe umieszczenie w szanownem piśmie sprostowania korespondencyi „Z Drohobycza“ dnia 14 b. m. w nrze 37 *Przeglądu* umieszczonej. „Nieprawda, że w czerwcu jechał w wagonie kolejowym z Drohobycza do Borysławia kandydat adw. S. Prawdą jest tylko, że w tym czasie jechałem do Borysławia i w tym samym wagonie między innymi znajdował się niejaki Leib Spitzmann, słuchacz praw, znany w Drohobyczu i Borysławiu, gnieździe jego rodzinnem. Ja wszczęłem rozmowę z p. Jakóbem Feuersteinem, wielce poważanym przemysłowcem, do której to rozmowy wtrącał się Leib Spitzman i bez przyczyny począł okładać tak mnie, jak i p. Jakóba Feuersteina obelgami. Fakt ten przy rozprawie sądowej stwierdzili też świadkowie, za co Leib Spitzman został zasądzony na 3 dni aresztu, a nie jak w korespondencyi mylnie podano, że tylko ja zostałem zasądzony na 25 zł.

W ogóle szan. p. korespondent uciekł się do przekręcania faktów, ba nawet wyroku sądowego. I tak np. sz. p. korespondent mówi: „p. S. niepochlebnie się wyraził o stosunkach drohobyckich i borysławskich i za to miał mu wymierzyć J. F. policzek“.

Niech to zwykły człowiek, 5 zmysłami obdarzony pojmie? Jak można przypuścić, aby ten, że ktoś niepochlebnie o stosunkach (!) miasta się wyraził, jednostka tak dalece dotkniętą się czuła, że się porwała aż do bicia. Prawdą jest tylko, że gdy na mnie Leib Spitzman obelgi miotał, Jakób Feuerstein zamknął mu na żart usta i z tego udało mu się zrobić policzek, za który zażądał 500 zł., jednak później, nie przymierzając jak kupiec, zgodził się na połowę.“

Z poważaniem
D. wid. Gartenberg.

Polowanie. W lasach radziechowskich hr. Stanisława Badeniego w dniach 12 do 16 lutego odbyły się polowania. W ciągu pięciu dni w 9 do 12 strzelb ubito: 28 dzików, 82 rogaczy, 10 lisów. Pomimo nawalnego śniegu, wskutek czego nagonka z wielką trudnością w miotach postępowała, a do tego zawieje śnieżne dokuczały, rezultat polowania był bardzo dobry.

Na pomnik Murawiewa wieszatiela jak donosi *Wileński Wiestnik* zebrano 51.316 rubli 23 kopiejki. Dodać musimy, że te składki zbierane są już lat 15.

Samobójstwo. Dnia 15 bm. odebrał sebie życie wystrzałem z rewolweru Marcin Karczmarczyk, subjekt handlowy w Rzeszowie, 29 lat liczący. Przyczyna samobójstwa nieznana.

Nowa apteka. Koncesyę na aptekę w Baligrodzie otrzymał p. Stanisław Faliszewski.

Walne zgromadzenie lwowskiego Tow. prawniczego odbędzie się w piątek 22go o godzinie 6 wieczorem.

Walne zgromadzenie członków Tow. dla rozwoju i upiększenia miasta Lwowa, które 15 b. m. dla braku kompletu członków nie przyszło do skutku, odbędzie się w piątek 22 b. m. o godz. 6 wieczorem w sali bibliotecznej kasyna miejskiego przy jakiejkolwiek bądź liczbie obecnych członków.

Corso kwiatowe na lodzie, odroczone tej niedzieli z powodu dotkliwego zimna, odbędzie się nieodwołalnie razem z rozdawnictwem nagród i premiowych medali w najbliższą niedzielę t. j. 24-go lutego b. r.

Cesarz w Mentonie. W sobotę odbyło się w apartamentach cesarskich w Cap Martin koło Mentony śniadanie na 16 nakryć, w którem wzięli udział prócz obojga cesarstwa, siostra cesarzowej, hrabina Trani, hrabia i hrabina Caserta z rodziną, oraz świta. Stół przystrojony był w świeże fiołki i gwoździki. Serwis z szczerego srebra. Cesarz był w usposobieniu posępnem, dowiedział się bowiem właśnie, że z Arco nadeszły niepomyślne wiadomości o zdrowiu arcyks. Albrechta. Obiad trwał 2 godziny, poczem hr. i hrabina Caserta oddalili się. Cesarz odprowadził swoich gości przez salę hotelową aż do powozu. Miał na sobie smoking, idąc trzymał cylinder w ręku. Szedł obok hrabiny Caserta, która z powodu śmierci króla Franciszka II była w grubej żałobie. Kiedy Cesarz ukazał się w sali hotelowej, wszyscy obecni tam powstali z miejsc. Wkrótce potem para cesarska przedsięwzięła spacer do Mentony. Już zmrok zapadał, gdy cesarstwo wracali ze spaceru wzdłuż morza, które kipiało wzburzeniem. Niebieska, delikatna mgła otaczała Mentonę, a na latarni morskiej zaczęły połyskiwać światła. Droga nad brzegiem morza była cudowna. Przed oczyma cesarskiej pary roztaczał się z jednej strony widok aż do Bordighery, podczas gdy z drugiej strony widać było przylądek opieniony falami. Cesarstwo z ożywieniem rozmawiali ze sobą. Na moście, rzuconym przez rzeczkę Carai nadjechało naprzeciw powozu cesarskiego kilkunastu strzelców alpejskich na welocypedach. Cesarz kazał skręcić powóz w bok i umożliwić strzelcom swobodny przejazd. Tryb życia cesarza w czasie jego pobytu na San Martin jest następujący: rano o godzinie 6-tej kawa i zimna przekąska mięsna, potem spacer w parku; aż do południa Cesarz pracuje; o godzinie 1 śniadanie, o 7 wieczorem obiad. O godzinie 9-tej wraca Cesarz do swoich apartamentów. Z pobytu Cesarstwa na południu przytoczymy jeszcze jeden epizod. Przed paru dniami oboje Cesarstwo udali się do Monte Carlo, gdzie korzystając z tego, że cała publiczność znajdowała się częścią w sali gry, częścią na śniadaniu, zabawili sporą chwilę w tamtejszym prześlicznym parku, poczem Cesarzowa wróciła do domu, a Cesarz odjechał w odwiedziny do bawiącego w pobliżu panującego ks. Lichtensteina. Tymczasem jednak rozeszła się wiadomość, że Cesarz Franciszek Józef z żoną bawi w parku Monte Carlo. Bez namysłu wszyscy porzucili swoje zajęcia i podążyli do parku zobaczyć parę cesarską. Było już jednak za późno, bo Cesarstwo odjechali z Monte Carlo.

Ściąganie z obiegu not państwowych. Ściąganie z obiegu papierowych guldenów jest już prawie skończone. Nie ściągnięto ich jeszcze za 6—7 milionów, z czego 3 — 4 milionów odliczyć należy na egzemplarze zaginione, które uznane zostaną za przepadłe. Będzie to stanowiło zysk państwa, który rozdzielony zostanie pomiędzy Przedlitawię i Węgry w stosunku 70 i 30. Skoro obecnie ściągnięcie z obiegu papierowych guldenów jest już prawie skończone, przeto zabierze się rząd zapewne do ściągnięcia wyższych not po 5 i 50 złr. Po części już się to dzieje i dotychczas wycofano już z obiegu piątek i pięćdziesiątek za 20 milionów złr. a dano za nie noty bankowe. Prawdopodobnie dalsze ściągnięte z obiegu piątki zastąpi rząd przynajmniej w części srebrnymi guldenami. Ponieważ jednak przesyłanie pocztą guldenów srebrnych w pakietach kosztuje dziś nierównie drożej, aniżeli przesyłka pieniędzy papierowych, przeto zamierza rząd zniżyć bardzo znacznie opłatę pocztową za przesyłkę srebrnych pieniędzy, gdyż przesyłka przekazami nie potrafi w wielu wypadkach zastąpić przesyłki w monecie brzęczącej, zwłaszcza do fabryk, które potrzebują znacznego zapasu drobnych pieniędzy na wypłatę robotników.

Tyfus plamisty panuje w Galicyi wschodniej w powiatach kamioneckim i buczackim. Ofiarą jego padło już trzech lekarzy: zmarły przed trzema dniami radzca zdrowia dr. Cassina, doktorand medycyny Boehm i lekarz powiatowy w Kamionce strumiłowej dr. Antoni Janiszewski. Dr. Cassina jako urzędnik sanitarny był na inspekcyi w Stadnicy w powiecie buczackim, gdzie panuje nagminnie tyfus plamisty. We wsi tej bawił także doktorand medycyny z Krakowa dr. Boehm wysłany przez rząd. Obaj le-

---

22)

W PŁYTKIM PRĄDZIE

POWIEŚĆ

przez *Nagodę.*

(Ciąg dalszy).

Cała artystyczna trupa robiła sobie w duszy uwagę, że Emil i Tola bardzo chętnie nawzajem szukają swego towarzystwa, a Edmund, który sam się zgłosił na skromną posadę sufiera po to tylko, ażeby mieć nieustannie przed oczyma tę zagadkową kartę życia Toli, odkrytą mu nagle kilkoma nieopatrznemi słowami Zdzisława, Edmund czuł, że ogarniają go coraz czarniejsze, trudniejsze do przejrzenia ciemności. Przed dwoma miesiącami on sam wierzył, że był przez nią kochany; obojętni widzowie, zazdrosna żona, wreszcie sam Zdzisław, narzucili mu przypuszczenie, że to gorące serce młodej dziewczyny, zdradzające na pozór taką dumę i niezależność uczuć, poszło utartym śladem tylu innych serc kobiecych, na pastwę płytkiego donżuana, nie wahającego się nawet przyznać otwarcie swego zwycięstwa. Dzisiaj, opinia tych samych widzów, skryta niechęć Zdzisława a nadewszystko uśmiech i oczy Toli, zwracające się tak często w stronę Emila, wskazywały Edmundowi nowy przedmiot zazdrości, nowy problemat psychologiczny, który dręczył go z pewnością nie mniej, kto wie czy nie więcej, nawet od pierwszego.

Czyżby Tola była tylko kokietką?

Och, wszystko lepiej, aniżeli to przypuszczenie! niechby w jej sercu była raczej najszaleńsza miłość do innego człowieka, niechby się tam kryły najgłębsze przepaście, najzawilsze kolizye uczuć — byle nie ta płytka mielizna, o którą już raz, w latach pierwszej młodości, rozbiła się łódka jego życia — wolał się dręczyć i truć zazdrością, aniżeli przekonać się, że nie ma o co się ubiegać ani za czem rozpaczać.

Jego miłość dla Toli nie osłabła, ale jeszcze spotęgowała się przez ten czas próby i ciągłych walk z własnem sercem, z upajającym czarem wspomnień, z raniącą go boleśnie rzeczywistością. Zrósł się każdą myślą, każdem uderzeniem serca, nawet z obecnym stanem rzeczy; gorączkowo spieszył zawsze na próby, choć wiedział, że każde nowe spotkanie raczej ich oddali, aniżeli zbliży do siebie — nie mówił prawie do niej, ale patrzył wciąż na nią i wydawało mu się, że te trzy godziny, spędzane teraz co drugi dzień w towarzystwie Toli, to jeszcze jedyna część jego życia zamykająca jakąś treść, coś do czego dążyć, czego pragnąć było warto.

Chwilami uczucie tak brało nad nim górę, że zbliżał się do Toli, gotów jej wypowiedzieć bądź co bądź swoją miłość — ale najczęściej zamiast tkliwego wyznania, wynikało z tego między nimi nowe jakieś nieporozumienie, bo Tola zrobiła się teraz niezręczną, nieumiejącą nic odczuć, nic odgadnąć w porę, jak każda kobieta, co czuje się podejrzywaną i potępianą, dla której zgasł nagle rozświecający i wskazujący jej drogę, promień miłości w oczach ukochanego.

Na ostatniej próbie struny tych wszystkich uczuć przeciągnięte już nad miarę, zdawały się lada chwila grozić pęknięciem — pani Brańska i jej córka ledwie mogły już opanować i ukryć swoje rozdrażnienie na widok Emila, coraz to goręcej, coraz widoczniej zakochanego w Toli, — Zdzisław tyle razy już na deskach sceny powiedział pięknej pannie, że ją kocha nad życie, tyle razy ona musiała przyjąć to wyznanie z uśmiechem i wdzięcznem spojrzeniem, iż zdawało mu się, że uczucie jego było już niejako zaakceptowane przez nią samą i przez świat cały — nawet przez żonę, na której twarzy nie śledził coraz to gwałtowniejszych postępów żalu i zawiści, w której głosie nie umiał dosłuchiwać się dźwięków grożących burzą.

Tola miała właśnie wejść na scenę — zagadnięta w ostatniej chwili przez Emila, spóźniła się o minutę, panna Jela uczuła się w obowiązku ulżyć własnemu sercu złośliwym uśmiechem i udzieleniem swego spostrzeżenia Edmundowi.

— Nic dziwnego, że pan Emil gra tak mierne na scenie, kiedy po za sceną ofiarowano mu widocznie rolę, która mu się daleko lepiej podoba.

Edmund nic nie odpowiedział, tylko suflerował już tego dnia w jakiś dziwny, szorstki sposób i miał twarz tak zmienioną, że zwróciło to uwagę nawet zajętych wyłącznie sobą i sztuką aktorów.

— Panu się już sprzykrzyło suflerowanie — *vous voudriez peut-être dire quelque chose pour votre propre compte?* — zauważyła Wilma.

— Głowa mnie boli — odparł krótko Edmund.

— O niechże pan nie choruje, bo coby się stało z całem przedstawieniem bez suflera — wtrąciła Tola, którą brak humoru i bladość Edmunda usposobiały do pojednawczych kroków.

Ale dobre jej intencye nie zostały należycie ocenione.

— Niech pani będzie spokojną, na dzień przedstawienia nie zachoruję z pewnością — odrzucił Edmund takim tonem, jak gdyby w tych paru słowach chciał zamknąć najostrzejszy zarzut.

Tola zaczerwieniła się.

— Niech pan nie choruje nigdy—szepnęła prawie mimowolnie, i na jedną sekundę spojrzenie jej odzyskało dawny gorący blask, spotkało się i spoiło z oczyma Edmunda — tem spieszniej też potem odwróciła głowę i pokryła uśmiechem tę chwilę zapomnienia, która zaskoczyła ją znienacka, a co gorsza, groziła jej strumieniem łez, których gorąco i wilgoć już czuła pod powiekami.

Powróciła znowu na scenę, ale w grze jej znać było teraz wzruszenie silniejsze niż wypadało z jej roli, usta wymawiające szablonowe frazesy tej francuskiej idylli, drżały uczuciem prawdziwem, gwałtownem, działającem elektryzująco na słuchaczy. Oczy całego towarzystwa zwróciły się na nią.

— Jak gra, jak gra! — powtarzali wszyscy.

Jeden Emil nie mówił nic, tylko patrzył kolejno na Edmunda i Zdzisława, jak gdyby chciał dośledzić, który z tych dwóch zamącił nagle te pozory spokoju, o których utrzymanie Tola zdawała się walczyć wszelkiemi siłami.

Gdy po końcowej scenie zeszła z estrady, nagrodzono ją hucznymi oklaskami.

Wzburzona, nie mogąca jeszcze odzyskać chłodu i równowagi, wsunęła się do sąsiedniego pokoju po szklankę zimnej wody — w drzwiach spotkała się oko w oko ze Zdzisławową.

— Winszuję ci! grałaś dzisiaj daleko lepiej, daleko prawdziwiej od patentowanej aktorki — zaczęła pani Marya tonem zrazu cichym, natężającym się, podnoszącym coraz to ostrzej za każdem słowem — ale wiesz na co ci chciałam zwrócić uwagę: że mówić takim tonem „kocham“ cudzemu mężowi, to nikczemnie!

XVII.

A więc to tak było; — czarna zasłona ciemności otaczająca od paru tygodni oczy Toli, rozdarła się nagle blaskiem błyskawicy i wszystkie wypadki ostatnich dni stanęły przed nią jasne, zrozumiałe, odsłonięte brutalnie jednem słowem, którego echo od kilku godzin dzwoniło jej wciąż w uszach, tłumiąc wszelkie inne echa i głosy. I to do niej odnosiło się to brzmiące pogardą słowo! — ją mogli ludzie posądzić o bałamucenie człowieka należącego pod przysięgą do innej, o ubieganie się o miłość tego, co sobie zadrwił z jej serca, pobawił się niem chwilę i rzucił je, dla trzech kroci!

Ona, co w owej strasznej chwili zawodu i upokorzenia byłaby oddała połowę życia, żeby wymazać na zawsze nawet wspomnienie tej miłości, ujrzała teraz nagle nazwisko swoje i jego splątane razem w nędznej plotce — czuła jak ich oboje obejmowano jednem spojrzeniem, jak streszczano sąd nad niemi w jednym złośliwym uśmiechu.

Rozumiała już teraz doskonale, co się stało z jej szczęściem i z miłością Edmunda — zwarzył ją jeden taki uśmiech przesuwający się z ust na usta, w tem kółku jej najbliższych przyjaciół i znajomych; może spaliła się na popiół w gorącem spojrzeniu Zdzisława, lub pałającym zazdrością wzroku jego żony.

Jakże była jeszcze niedoświadczoną, mimo tylu gorżkich przejść swoich! jak dała się głupio złapać na granie tej komedyi, która teraz wydawała się jej zastawioną wyłącznie na nią zasadzką! Czyż mogła przypuścić, żeby jej się udało cokolwiek ukryć przed oczyma tych ludzi znudzonych, spragnionych nowej plotki, nowego przedmiotu obserwacyi i złośliwych szeptów, choćby ten przedmiot miał im chwilę zabawy okupić szczęściem całego życia. Jak mogła nie spostrzedz się w porę, że to, co dla niej było najprzykrzejszem przełamaniem wszystkich moralnych wstrętów, czem chciała właśnie zaprzeczyć echom przeszłości, osłonić się przeciw nowym wybuchom Zdzisława, świat weźmie za nieprzewalczony pociąg ćmy lecącej w ogień, lub za zręczną grę kokietki, bawiącej się niebezpieczeństwem jak kuglarz, przerzucający płonącemi pochodniami.

Gdyby była poszła za instynktem własnego serca, zamiast za doradczym głosem złudnej światowej mądrości, gdyby jej więcej chodziło o treść rzeczy, niż o jej pozór, nie byłaby się spotkała z rzuconem jej w żywe oczy słowem nikczemność. Przy zgrzycie tego słowa dźwięczącego nieustannie w około niej, zaczynała się budzić dawna Tola; ta, co nie znała jeszcze świata, nie umiała obok rzeczy oburzających przechodzić z uśmiechem obojętnego pobłażania a najdotkliwsze obelgi przyjmować z niezamąconą uprzejmością i słodyczą, nakazaną przez dobry ton.

Ją ten zarzut dławił w gardle, zohydzał jej świat cały, ją samą, Zdzisława, co postępowaniem swojem dał pole takim podejrzeniom; przepełniał jej serce aż po brzegi nienawiścią do Maryi, która odebrawszy jej już prawie narzeczonego potęgą swoich kroci, dziś znowu zbyt późno zbudzonym skrupułem zazdrości, stawała pomiędzy nią a sercem tego drugiego człowieka, którego miłość i szacunek byłaby Tola bez wahania okupiła ceną całego życia.

Miłość? — alboż on ją mógł kochać jeszcze, będąc bratem Maryi? alboż mógł kochać i szanować kokietkę, bałamucącą mu szwagra, w przededniu oddania jemu swej ręki?

(Ciąg dalszy nastąpi).

karze nieśli pomoc chorym, lecz zarazili się i obaj w kilka dni po sobie umarli. Przed dwoma tygodniami umarł dr. Antoni Janiszewski, lekarz powiatowy w Kamionce strumiłowej, który nabawił się tyfusu plamistego w Majdanie starym i dwunastego dnia choroby umarł. Na posterunku w obec skrytego wroga, który corocznie szerzy pomór między ludnością naszego kraju, jednocześnie padło trzech pracowników, którzy mieli śmiałość stanąć do walki z chorobą nie znającą litości dla ofiar swoich, chorobą, która w szeregach lekarskich corocznie większe czyni szczerby, niż w wojnie kula broni morderczej. Trzy życia naraz zabrała w sile wieku, w zapale do pracy, trzy rodziny niedawno szczęśliwe ciężka pokrywa żałoba.

Oryginalny zakład rozstrzygnięto niedawno w Newcastle. Dwunastu mężczyzn stanęło do „recordu" bezsenności. Po upływie czwartej doby jedenastu zapadło w sen głęboki i tylko jeden majtek wytrzymał, czuwając siedem dni i siedem nocy, jemu też przyznano dosyć wysoką nagrodę pieniężną. Od tej pory wszakże cierpi on na tak silne rozdrażnienie nerwowe, iż jest obawa, by nie uległ obłąkaniu.

Fizyognomika. Na jednej z wystaw malarskich w Paryżu zwracały na siebie niedawno powszechną uwagę kartony kredkowe, przedstawiające kolejno jedną i tę samą twarz ludzką, wyrażającą najrozmaitsze uczucia i nastroje: jak śmiech, płacz, gniew, itp., w najsubtelniejszych nawet odcieniach. Okazało się, iż twórcą tych kartonów jest młody malarz polski Maurycy Heyman, osiadły od niedawna w Paryżu. Twarz na rysunkach przedstawiała własną twarz malarza, który zadanie swe wykonał w ten sposób, iż siadał przed zwierciadłem, nastrajał twarz odpowiednio i czemprędzej szkicował, dowodząc oczywiście wielkiego daru zmiany fizyognomii, a także niemniej wielkiej pewności ręki. Kartony były bardzo chwalone, znalazł się też niebawem na nie nakładca, który postanowił je ukazać światu w reprodukcyach i wydał jako wspaniały atlas p. t. „Symphonies d'expression" (Paryż, E. Plon, Nourrit et Comp., 1895), z odpowiednią przedmową Roberta Vallier. Każde uczucie przedstawia tu Heyman w trzech fazach postępowych; na pierwszym rysunku uśmiecha się, na drugim śmieje się, na trzecim wreszcie zanosi się od śmiechu. I tak dalej, ciągle po trzy fazy, płaczu, gniewu, odrazy, bólu, przestrachu, zdumienia, radości i nakoniec lekceważenia. A subtelność w owych przejściach z jednej fazy do drugiej i trzeciej danego uczucia oraz ich stopniowanie, są po prostu wspaniałe i nieporównane.

Wszystkie też dzienniki francuskie i niemieckie zajmują się już żywo dziełem młodego artysty, przyznając mu niezaprzeczoną wartość dla tych wszystkich, co mają do czynienia z fizyognomiką ludzką, jak rzeźbiarze, malarze i aktorowie. Na użytek tych ostatnich wydał już przed kilkunastoma laty Niemiec, dr. Michels, podobny album, z rozprawką o fizyognomice p. t. *Die Geberden-Sprache*, gdzie również własną twarz fotografował. Ale jego fotografie muszą zupełnie ustąpić pracy Haymana, jej wyrazowi i subtelności. O artyście, którego gazety stale nazywają „młodym Polakiem," niestety, nie mamy dotąd bliższych szczegółów.

Nowa utopia. W Wiedniu zaczęło wychodzić nowe pismo robotnicze *Die Volkswehr*, wydawane przez robotników, nie należących do żadnego z istniejących dziś stronnictw robotniczych. W ostatnim numerze tego pisma niejaki Mothes skreśla nowy plan uszczęśliwienia ludzkości. Powiada on: nie można i nie należy napadać na instytucye, które sobie społeczeństwa wytwarzają, żadne rewolucye ani przewroty nie zniosą nigdy ani własności, ani różnicy stanów, ani religii, ani małżeństwa. Walką robotnicy nic nie osiągną, ale — zdaniem p. Mothesa — mogą własnemi siłami ustrój społeczny legalnie i powoli zreformować. Środek to bardzo prosty a da się wykonać drobną ofiarą, bo składką tygodniową wynoszącą 40 groszy. Niech składki te płacą w ogóle ubodzy: robotnicy, urzędnicy itp., jeśli znajdzie się takich 500.000 osób, to tygodniowo będzie się zbierała suma wynosząca 100.000 złr., rocznie 5,200.000 złr. Za te pieniądze będzie można nabywać grunta i budować domy, zatrudniając tylko uczestników i kupując wszystko tylko u uczestników. Jeden dom 3-piątrowy o 20 mieszkaniach lub warsztatach kosztować będzie 25.000 złr., mieszkać w nich i czynsz płacić będą tylko uczestnicy, którzy zawiążą „związek gospodarski austryackich towarzystw ubezpieczenia pracy i emerytury". Z końcem jednego roku byłoby już 104 domy, dochód czysty półroczny wynosiłby 150.000 złr., po szóstym roku domów takich byłoby już 1500, na fundusz wsparcia i emerytury, byłoby do rozdania z dochodu z górą ćwierć miliona, w ósmym trzy czwarte miliona, w dziesiątym 3 miliony, w dwudziestym roku byłoby domów 4.400, a do rozdania 6 milionów rocznie. Ale w dwudziestym roku jużby miał związek fabryki i kopalnie, wartość majątku wynosiłaby 115 milionów, a wypłacanoby po 37 i pół miliona zasiłków. Rocznie 6 do 10 milionów byłoby do rozdania.

Gdyby płacących robotników, urzędników itp. zebrało się 20 milionów, wykupiłby związek wszystkie fabryki, koleje, kopalnie, ziemię, spłaciłby długi państwowe, każdy członek od 40 roku pobierałby 3 zł. dziennie, majątek związku wynosiłby 4.375 miliardów, a dochód roczny 730 miliardów. Jest to znakomita utopia; rachunek na papierze jest ścisły, ale w rzeczywistości brakłoby najpierw owych 500.000 ofiarnych, a nadto p. Mothes podając swój plan nie liczy się z czynnikami mogącymi go w niwecz obrócić, a mianowicie ze zmianami produkcyi i cen oraz wartości pieniędzy. Jednakże plan ten pomyślany na małą skalę na 1000 np. ludzi, którzyby część pracy swej na wspólny cel ofiarowali, mógłby się stać ciałem i cudów dokazać, gdyż byłoby to znane działanie zbiorowemi siłami stowarzyszenia.

Z Niżniowa nam piszą: Gdyby nie czujne oko tutejszego posterunku żandarmeryi, byliby mieszkańcy Niżniowa od tygodnia jedli mięso, jakiego żaden weterynarz nie zezwoliłby rzeźnikom w jatkach sprzedawać. W jednym tygodniu skonfiskowała żandarmerya dwie duże sztuki zabitych bydląt. Weterynarz powiatowy z Tłumacza na prośbę naczelnika gminy przybył z dworca kolejowego, uznał pierwszą sztukę za chorą na perlicę i polecił mięso w tej chwili zakopać. W kilku dniach powtórzyło się to samo. Rzeźnicy przyprowadzili jedną dużą sztukę o godzinie 11 przed północą do miejscowego oglądacza bydła do piętnowania. Żandarmerya dowiedziawszy się o tem, skonfiskowała z jatek wszystko podejrzane mięso i odesłała do starostwa w Tłumaczu. Tam po zbadaniu uznano je też nie do spożycia. Mięso zostało kwasem karbolowym zlane i zakopane.

— **Stan powietrza.** T. o 8 rano —10° R. w poł. — 7° R. Bar. 757. Pogoda. Mroźno.

Znakomity portyer.

— Więc pan chcesz objąć w hotelu naszym posadę portyera, czyś pan już zajmował gdzie takie miejsce?

— Nie, proszę pana.

— Czy pan umie obce języki? Lub czem pan może dowieść kwalifikacyi do tak trudnej posady?

— Biorę nadzwyczaj chętnie na piwo.

Teatr. Dziś w poniedziałek „Madame Sans-Gêne", komedya w 4 aktach Wiktoryna Sardou i E. Moreau. We wtorek „Szkoła kobiet", komedya w 5 aktach wierszem Moliêra, przełożył Kazimierz Zalewski. We środę „Madame Sans-Gêne". We czwartek „Manon Lescaut", opera w 4 aktach Puccin'iego.

Literatura i Sztuka.

* **Koncert**, w którego program wchodzą wyłącznie dzieła A. Rubinsteina, wykona Towarzystwo muzyczne dnia 9 marca w sali Sokoła. Usłyszymy utwór symfoniczny p. t. „Ocean" i wielkie oratoryum „Mojżesz" na chóry, solo i orkiestrę. Próby z tego ostatniego dzieła odbywają się już od dawna pod kierunkiem dyr. Schwarza — faktura imponująca, lecz zarazem skomplikowana, tej kompozycyi nastręcza wiele trudności do pokonania, z których nie wątpimy, że Towarzystwo muzyczne jak zawsze wyszło z honorem. W wykonaniu partyj solowych biorą udział nasze najwybitniejsze siły artystyczne i amatorskie.

* **Kronika muzyczna.** Dla muzykalnego świata polskiego jest w tej chwili najważniejszem zdarzeniem opera — którą pisze Paderewski. Czy Paderewski okaże się równie genialnym kompozytorem scenicznym, jak wirtuozem? Jak przyjmą jego dzieło w zachodniej Europie, gdzie odbędą się pierwsze przedstawienia? Kiedy kraj pozna utwór znakomitego pianisty? Pytania te cisną się na myśl, kiedy się czyta i myśli o operze, której sama zapowiedź wywołała już sensacyę w świecie, a która, kto wie, czy nie zapewni nam poważnego miejsca na polu ogólnej produkcyi operowej. Kilka ważniejszych szczegółów, tyczących się utworu Paderewskiego, podaliśmy niedawno. Oto, co w dalszym ciągu piszą o tem z Paryża: „Operę Paderewskiego, która obejmie 3 akty i zapełni cały wieczór teatralny, zna dotychczas tylko najściślejsze koło przyjaciół kompozytora, którym Paderewski grał niektóre ustępy w salonie księżnej Brancovan, znanej w tutejszym świecie amatorki muzyki. Jeden z wybitnych krytyków, który był wtedy obecnym, wyraził się w sposób następujący o operze Paderewskiego w piśmie specyalnie muzycznem „*Menestrel*": „*C'est une oeuvre d'une étrange saveur et d'une jolie recherche musicale, suite de scènes populaires, traitées par le compositeur avec un sentiment large et poétiquement coloré*" (Jest to dzieło przedziwnego smaku i nadzwyczajnej wybredności muzykalnej. Przedstawia ono szereg scen ludowych, traktowanych przez autora z uczuciem i szerokiem poetycznem zabarwieniem). Paderewski ukończył dopiero szkic fortepianowy i o ile mu nie przeszkadzają koncerty, pracuje obecnie nad instrumentacyą. Wobec tego stanu opery, termin pierwszego przedstawienia nie mógł jeszcze być oznaczony, a wszystkie wiadomości, które się w tym względzie pojawiły w pismach francuskich, angielskich lub niemieckich, były przedwczesne. Paderewski nie obrał nawet jeszcze sceny, której powierzy pierwsze wykonanie; ubiegają się o pierwszeństwo trzy wielkie teatra: londyński Covent Garden, peszteński i drezdeński. Wobec niezwykłej popularności, jaką kompozytor nasz cieszy się w Anglii, obrałby niezawodnie Covent-Garden, gdyby nie to, że sezon operowy trwa tam tylko przez czerwiec i lipiec, a trudno przypuścić, aby opera do tego czasu mogła być ukończona. Libretto zostało napisane po polsku przez Alfreda Nossiga, autora „Tragedyi myśli"; istnieją już tłómaczenia francuskie i niemieckie, ale w którym języku opera po raz pierwszy graną będzie, jeszcze nie zdecydowano. Również niezdecydowaną kwestyą jest jeszcze tytuł opery. Na razie Paderewski ma zamiar nazwać swój utwór „Ulana" od imienia bohaterki, ale być może, że ten tytuł ulegnie jeszcze zmianie.

Nim tak gorąco wyczekiwane dzieło Paderewskiego zapewni sztuce polskiej szacunek na obu półkulach, tymczasem stary nasz repertoar operowy nieśmiało wyrabia sobie prawo obywatelstwa za granicą. Znany we Lwowie tenor p. Aleksander Bandrowski, śpiewał niedawno we Frankfurcie nad Menem dumkę „Szumią jodły" z „Halki". Dumka wywarła widocznie sympatyczne wrażenie, gdyż muzycy tamtejsi zainteresowali się samą operą. Obecnie p. Bandrowski zakupił w Warszawie partycyę całej opery na prośbę dyrekcyi teatru w Frankfurcie, która prawdopodobnie wkrótce już „Halkę" wystawi. Tu dodać należy, że teatr we Frankfurcie należy do wzorowych pod względem odświeżania repertoaru. Tak n. p. od sierpnia 1894 do teraz wystawiono tam trzy nowe opery, a obecnie przygotowują już czwartą. Być może, że za pośrednictwem Frankfurtu „Halka" utoruje sobie drogę na sceny niemieckie.

Co znaczy wzorowa opera, widzimy naprawdę dopiero na Nowym Yorku. Niedawno wymieniliśmy skład personalu w tegorocznym sezonie: składa się on z najznakomitszych sił współczesnych. Ażeby dać czytelnikom pojęcie jak wygląda obsada opery w Nowym Yorku przytaczamy jako przykład „Carmen". Utwór ten wykonywany jest tam w następującej obsadzie: Carmen — Mira Heller, Don Jose — Jan Reszke, torreador — Edward Reszke, Micaela — Melba. Z zestawienia tego pokazuje się także, że nasi artyści trzymają prym w nowojorskim teatrze. Obaj Reszkowie stanowią już tak uznane znakomitości, że o nich się prawie nie dyskutuje. Natomiast p. Heller, jako zupełnie nowe zjawisko na szerszym horyzoncie scenicznym, zajmuje powszechną uwagę. P. Heller ukazuje się na scenie 2 do 3 razy tygodniowo, ostatniemi czasy wyłącznie w „Cavallerii", dzięki olbrzymiemu powodzeniu, jakie zdobyła sobie partyą Santuzzy. Jeden z dzienników pisze, że po duecie z Turridu (Tamagno) w teatrze rozlegają się nie oklaski, lecz huragany. Artystka opuszcza czasami Nowy York ale tylko chwilowo: i tak 24 stycznia wystąpiła w Filadelfii, gdzie przyjęto ją równie gorąco, jak w Nowym Yorku. Głosy krytyki amerykańskiej brzmią o śpiewaczce naszej jak najpochlebniej. Przytoczymy kilka recenzyi z występu w partyi Santuzzy.

Oto co pisze dosłownie *The Morning Journal* z dnia 5 b. m.: Nastąpiła „Cavalleria rusticana". Śpiewali w niej Hellerówna—Santuzzę—Tamagno — Turridu i Bensaude — Alfia. Było to więcej niż dobre, było to poprostu wspaniałe przedstawienie tej pięknej opery dramatycznej. Mira Hellerówna sprawiła prawdziwą niespodziankę tym, którzy ją widzieli przedtem. Nikt nie przewidział z poprzednich przedstawień, że tak wiele kryje się w niej talentu. Była to dramatycznie i wokalnie doskonale pojęta Santuzza, natura i dziwna i pełna temperamentu, jak ją widzimy w partycyi. P. Hellerówna nie może być już już dzisiaj zaliczona do niezdecydowanych osobistości sezonu. Z trudnością przypominamy sobie podobnie doskonałe wcielenie się w rolę pod każdym względem." *Tribune* zaś pisze pod tąż datą: „Przedstawienie „Cavallerii rusticany" stało pod każdym względem na pierwszym planie. P. Mira Hellerówna była Santuzzą, sign. Tamagno — Turridu, etc. P. Hellerówna jest młodą artystką wielkich zdolności i jeszcze większych nadziei. Natura śpiewaczki jest intensywnie uczuciową, przeciwwagę zaś, choć w nierównej mierze, stanowi artystyczna dojrzałość i inteligencya. Ma ona żywe i pełne prawdy pojęcie o roli Santuzzy i często pod tym względem przypominała wczorajszego wieczora pannę Calvé z powierzchowności i gry. Zaraz na początku traktowała akcyę wysoce dramatycznie, co jej utrudniło następnie wykazanie stopniowego rozwoju uczuć, będącego istotą prawdziwie tragicznej roli. Mimo to wrażenie było pełne i składało się na wyraz podziwu dla młodej śpiewaczki. Będzie istotnie rzeczą interesującą widzieć wzrost tego talentu, który już dziś zyskuje kredyt w takich przedstawieniach".

Wreszcie *World* z dnia 5 b. m. pisze:

„Kto nigdy nie widział p. Calvé, jako Santuzzy, może podziwiać p. Mirę Hellerównę prawie bez zastrzeżeń. Taką jaką była — śpiewaczka wyglądała w roli prześlicznie, była pełną wdzięku, pociągającą i sympatyczną w akcyi, podczas gdy część wokalna ujawniła z korzyścią bogactwo jej czystego głosu. W całości rola Santuzzy zasługuje na wybitne wyróżnienie".

Na przeciwnym biegunie stoi dziś Patti, której gwiazda po karyerze lat 30 spada gwałtownie na poziom powszedności. Patti śpiewała przed paru tygodniami w Wiedniu. Co znaczy urok dobrze zasłużonej sławy, można było przekonać się z tego występu. Pieszo i powozami tłoczyła się publiczność do Musikvereinu, którego widownia miała pozory sali balowej, z tą tylko różnicą, że panie w przepysznych toaletach zajęły rzędem ustawione krzesła. 52-letnia Patti nie wygląda już wiosennie, ale przy pomocy kosmetyków i w gustownej biało srebrnej tualecie przedstawia się jako osoba wybornie zakonserwowana, przypominająca jeszcze dawną urodę i wdzięk. Podczas produkcyi jest spokojna, prawie nieruchoma, nie ożywia się. Panuje ona nad swoją sztuką i nie obawia się o swój głos. „Publiczność — pisze jeden z krytyków — biła brawo, ale dosyć chłodno, był to hołd, ale nie wzruszenie... Patti zadziwia jeszcze, ale nie porywa, śpiew jej sprawia przyjemność, ale już nie rozkosz. Przyczynia się do obniżenia wrażeń i ta okoliczność, że śpiewa te same rzeczy, które od lat 30-tu po świecie obwozi, które zapewne jeszcze 20 lat kanarek ten znakomicie, ale bez dawnej świeżości śpiewać będzie. Inne rzeczy, które dodała, nie zupełnie leżały w jej głosie. W każdym razie nie jest to jeszcze ruina i jest racya, że się publiczność jeszcze tłoczy. Gdyby młoda artystka z taką wystąpiła produkcyą, wróżonoby jej świetną przyszłość; Patti daje poznać, jaką miała świetną przeszłość".

W Krakowie śpiewała na koncercie inna zachodząca gwiazda: słynna Albani. Fr. Bylicki znakomity krytyk muzyczny pisze o niej: „Albani ma zbyt znaną i świetną artystyczną karyerę, aby ją przypominać. Z szerokiej skali pozostało kilka wysokich tonów, niepospolitej piękności, siła głosu jest prawie zdumiewająca, długość oddechu i wytrwałość nadzwyczajna. To, co artystka ta śpiewa, daje przedewszystkiem obraz znakomitej sztuki użycia głosu, a sztukę tę posuwa tak daleko, że utwór, przez nią śpiewany, wygina, przedłuża się aż do zupełnego rozerwania całości, a nawet i urwania się głosu. Wczorajsza *Casta diva* to nie arya z „Normy", tylko nagromadzenie niezliczonych fermat, wśród których trudno rozpoznać aryę. Gdyby całą operę chciano tak śpiewać, to zamiast dwóch godzin, trwałaby ona godzin ośm, a słuchacz dawnoby już usnął. Z początku imponuje słuchaczowi to przeciąganie tonu, bo podziwia brawurę, pewność, ale w dalszym ciągu nudzi. Mnie osobiście tem więcej dziwił taki sposób śpiewania, że miałem sposobność słyszeć kilka razy tę niepospolitą artystkę i wcale nie słyszałem tej gromady nużących fermat. Czy to specyalnie był efekt dla Krakowa, czy też nowy sposób, tego nie wiem. Bez wątpienia jest śpiew tej artystki wybornem studyum dla słuchacza, pragnącego studyować, ale pragnący słuchać, napawać się pięknością śpiewu na tle cudownie śpiewnych utworów, nie użyje tak, jak sobie obiecywał".

Donieśliśmy już pokrótce, że w Cannes, we Francyi, umarł w 45 roku życia jeden z najpopularniejszych kompozytorów Benjamin Godard. Jego talent muzyczny objawił się bardzo wcześnie. Jako młody chłopiec był już wybornym skrzypkiem, a wkrótce potem zasłynął jako kompozytor, odznaczający się niezwykłem bogactwem motywów. Pragnienie, aby na polu twórczem dojść do rozgłosu, zaabsorbowało go tak dalece, że porzucił zupełnie koncerty i poświęcił się wyłącznie kompozycyi. W roku 1870 wspaniałe dzieło symfoniczne „Tasso" zjednało twórcy swemu pierwszą nagrodę na konkursie miasta Paryża.

Z chwilą tą opinia publiczna postawiła Godarda w rzędzie pierwszorzędnych kompozytorów; wydawcy chętnie kupowali jego utwory i w krótkim czasie jego kompozycye na fortepian i pieśni zdobyły wielką popularność. Ale Godarda nad wszystko nęcił teatr, chociaż tu był mniej szczęśliwym. Pierwsze jego dzieło „Pedro de Zalomea", wystawione było w Antwerpii i doznało nader chłodnego przyjęcia. W roku 1890 wystawiony w Operze komicznej „Dante", pomimo wielu bardzo zalet, zadowolnić się musiał średniem powodzeniem. Główną wadą większych utworów tego wysoce utalentowanego kompozytora był pośpiech i niedostateczne wyzyskanie niezwykle udatnych pomysłów. Największą wartość posiada opera p. t. „Jocelyn". Pełną jest natchnienia, siły dramatycznej obok prawdziwej poezyi. Dzieło, rzec można, stworzone było wśród cierpienia; kompozytor w czasie, kiedy je pisał, był już niezmiernie osłabiony, a przyjaciele jego opowiadają, że tworząc je, uśmiechał się często, jak gdyby marzył o przyszłości powodzenia swego wypieszczonego dziecka.... Spis utworów muzycznych, pozostawionych przez Godarda jest ogromy, a każdy utwór nacechowany jest niepospolitym talentem; bardzo wiele z nich zasługuje na miano arcydzieł.

Produkcya operowa ostatnich tygodni nie była bardzo obfitą. W Palermo odbyło się pierwsze przedstawienie opery „Santuzza" kapelmistrza Bimboni. Jest to dalszy ciąg „Cavallerii rusticany". Utwór tak się podobał publiczności Palermo, że 20 razy wywołała kompozytora. Natomiast zupełne fiasco spotkało w Paryżu premierę opery pt. „Czarnogóra", której autorką jest panna Augusta Holmes. Panna Holmes jest pochodzenia irlandzkiego, urodziła się w Paryżu i już w 15 roku życia zwróciła na siebie uwagę jako kompozytorka. Jej utwory koncertowe od kilku lat już z powodzeniem grywano na wszystkich wielkich koncertach paryskich. Publiczność uczęszczająca do opery z wielkiem zaciekawieniem oczekiwała pierwszego przedstawienia „Czarnogóry", zwłaszcza ze względu na autorkę, która uchodzi za bardzo ekscentryczną damę. Niestety premiera zupełnie zawiodła oczekiwania: muzykę uznano za bezbarwną i zarzucono jej, że zanadto przypomina rozmaitych kompozytorów, akcya zaś wydała się monotonnym i dosyć nudnym zlepkiem wojennych i miłosnych przygód czarnogórskich. Niektórzy krytycy wyrazili nawet zdziwienie, że utwór tak słaby mógł być wystawiony w wielkiej operze paryskiej.

Zamykamy kilku szczegółami o koncertantach naszych za granicą. Młody pianista Józef Hofman po tryumfach w Anglii, Berlinie, Wiedniu i Królewcu, wybiera się na marzec do Paryża, dokąd zaangażowano go na szereg koncertów. Przedtem wystąpi w Warszawie. W Wiedniu dał się słyszeć skrzypek nasz Tyberg z żoną pianistką, w Berlinie pani Małgorzata Bagińska, której gra na skrzypcach zyskała jak najpochlebniejszą opinię krytyki. W tych dniach wyjechali z Warszawy do Teheranu Kazimierz Werkowski skrzypek i Seweryn Bantel puzonista, obaj zakontraktowani do opery nadwornej szacha perskiego. Zapewniono im pensyę po 8.000 franków rocznie i po 2,000 fr. na koszta podróży.

Głosy publiczności.

Do Szanownych kolegów od pługa byłego obwodu tarnowskiego!

Przechodzimy ciężkie dla rolników czasy, ruina nas wszystkich posiadaczy średniej wielkiej własności bliska. Czy dlatego mamy opuścić ręce i nie radzić, jakby się wydobyć z fatalnego położenia? Nie, bo nie ma sytuacyi tak złej, z którejby nie było wyjścia, jeśli trzeźwo rzeczy sądząc chwycimy się środków rozumnych, praktycznych, a więc do celu wiodących. My rolnicy, mamy nasze, nam tylko właściwe, interesa rolnicze, które pośrednio są wprawdzie interesem kraju, lecz bezpośrednio są żywotnym interesem stanu naszego.

Otóż przyznać musimy, że ani nasze Towarzystwa gospodarcze, ani nawet Sejm nie obejmują ogółu interesów naszych, całej grozy położenia naszego; nie objawiają bowiem swem zachowaniem, że tę grozę pojmują, że jej zaradzić chcą. W obec tego sami o sobie radzić powinniśmy.

Nie mogę tu wchodzić w szczegółowy rozbiór tych środków pomocnych i zbawczych. W ogóle zaznaczę tylko, że należą one do dziedziny finansowej i administracyjnej i właśnie na zjeździe rolników, który niniejszem inicyuję, poddane być mogą dyskusyi i uchwale. Wspomnę tylko drogi kredyt hipoteczny jak i eskontowy, lecz ostatni jako krótko terminowy, interesom rolników nieodpowiedni. Otworzenie posiadaczom większym osobistego kredytu w filiach Banku austro-węgierskiego.

Brak policyi polowej, jako instytucyi krajowej, na wzór francuski. Brak odpowiedniego zaostrzenia ustawowego co do służby gospodarczej. Brak ustawy zarządzającej komasacyą gruntów obcych w obrębie obszarów dworskich położonych. Zmiana postępowania intendantury wojskowej w pokrywaniu swych potrzeb w zbożu, sianie i słomie na wzór niemiecki. Nieodpowiednia dla obcych produktów rolniczych, zwłaszcza z Węgier nadchodzących, taryfa kolei naszych. W każdym z tych kierunków dadzą się zmiany na lepsze zaprowadzić. Wątpić bowiem nie możemy o życzliwem poparciu naszych postulatów tak ze strony władz krajowych, jak i czynników ustawodawczych, lecz trzeba te postulata uzasadnić, sformułować i możliwość ich przeprowadzenia wykazać, ewentualnie wywalczyć. Do tego prowadzi przedewszystkiem zjazd rolników, nas właścicieli średniej wielkiej własności. Na nim stanę z rzeczą w ogólnych zarysach przygotowaną, którą Szanownym kolegom przedłożę. Jeżeli więc to moje odezwanie trafia do przekonania kolegów, to proszę mi to oświadczyć pisemnie, poczem, gdy znaczniejsza ilość Szan. kolegów na ten I-szy wiec rolników się zgodzi, uzyskam zezwolenia władzy zamówić salę do zebrania, będę się bowiem uważał za upoważnionego Szanownych Panów na pewien dzień do Tarnowa sprosić. Mieszkam i pocztę odbieram w Machowej koło Tarnowa.

Mieczysław Dołęga Szczepański,
były starosta i były poseł sejmowy.

Machowa 15 lutego 1895.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 16 lutego.

(Z.) Najważniejszym wypadkiem dnia dzisiejszego był znaczny spadek kursu monet złotych. Powodem tego pocieszającego objawu były po części zakupna arbitrażu, po części zaś to, że kilka pierwszorzędnych firm rzuciło dziś na targ znaczne zapasy monet złotych i sprzedawało je po niskiej cenie. Jakoż kurs napoleondorów obniżył się na 9·83½, a kurs 100 marek niemieckich na 60·57, t. z. że ażio złota ponad relacyę wynosi dziś tylko 3%, w roku ubiegłym zaś dochodziło ono aż do 7%.

Wiadomość, że na nową rentę złotą nie będzie rozpisana subskrypcya, lecz że ją grupa Rotszyldowska sprzedawać będzie partyami z wolnej ręki, nie jest po myśli spekulantów. Tego rodzaju subskrypcye są bowiem pewnym rodzajem powszechnego głosowania o kredycie państwowym i zazwyczaj bardzo sprzyjają operacyom zwyżkowym czysto spekulacyjnej natury. Nic tak skutecznie nie działa na tendencyę targów, jak teatralny efekt dziesięcio lub dwudziestokrotnego pokrycia wyłożonej do subskrypcyi pożyczki. Prawdopodobnie jednak sfery decydujące obawiały się, że przy tej subskrypcyi właśnie nie będzie takiego efektu, co mogłoby dać powód do wysuwania konkluzyi ujemnych o kredycie Austryi. Nie należy bowiem zapominać o tem, że obecna partya renty złotej objętą została powyżej kursu pari, a na taki papier subskrybują tylko kapitaliści, pragnący rzeczywiście nabyć i zatrzymać u siebie dany papier, dla spekulantów subskrypcya na takie walory, wypuszczane powyżej pari, nie przedstawia żadnego uroku, a wiadomo, że tylko subskrypcye spekulacyjne wywołują takie teatralne efekty kilkudziesięciokrotnego pokrycia.

Ruch dzisiejszy, zwłaszcza w międzynarodowych walorach, pozostawiał wiele do życzenia, z tem wszystkiem jednak tendencya była silna. Na uwagę zasługuje znaczna haussa akcyi wszystkich fabryk papieru.

Powodem jej jest pogłoska, że fabryki te dążą do utworzenia kartelu.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 415·25, węgierskie 503·—, Anglobanki 184·—, Uniony 329·15, Bankvereiny 161·—, Länderbanki 288·—, Ludwiki 219·50, Czerniowieckie 311·50, Elbathale 278·25, Renta papierowa 102·10, srebrna 102·20, austryacka złota 125·70, 4% austr. renta wal. kor. 101·15, węgierska złota 124·20, 4% węgierska renta wal. kor. 99·45, dukat 5·84—, 20-frankówka 9·83½, marki 12·11, ruble 1·33½.

Wiedeń 16 lutego. Spirytus 15·80—15.95.

§ **Spirytus.** Tarnopol 16 lutego. Przepełnienie magazynów gorzelnianych gotowym towarem i powstała ztąd konieczność zbytu spowodowała obniżenie cen, zwłaszcza gdy pokup szczególnie na krótkie termina ustał niemal zupełnie. Notowano: na luty — maj 13.10, maj—sierpień zł. 14 — za 10.000 L% loco Tarnopol.

Telegramy „Przeglądu".

Paryż 18 lutego. Z Biarritz donoszą do pism tutejszych, że policya tamtejsza zawiadomioną została, iż nieprzyjaciele króla serbskiego Aleksandra chcą wykonać zamach na jego życie. Z tego powodu zarządziła policya nadzwyczajne środki ostrożności.

Berlin 18 lutego. Cesarz zaziębił się przedwczoraj. Z początku mniemano, że to jest zwykłe usposobienie kataralne, tymczasem pokazało się, że jest to influenca. Kazano mu położyć się do łóżka, a wszystkie audyencye odwołano.

Madryt 18 lutego. Pogłoska paryska, że król niebezpiecznie zachorował, jest zupełnie nieprawdziwa. Krol ma tylko lekki katar skutkiem przeziębienia się.

Arco 18 lutego. Biuletyn o stanie zdrowia arcyksięcia Albrechta, wydany wczoraj o godzinie 6½ wieczorem opiewa: „Ogólny stan niezmieniony, świadomość chwilami zamącona czynność serca powolna i stale się zmniejsza Osłabienie coraz większe."

Arco 18 lutego. Dziś rano skonstatowali lekarze u chorego jeszcze większy ubytek sił.

Wiedeń 18 lutego. Przed tutejszym sądem przysięgłych rozpoczął się dziś proces przeciw słynnemu oszustowi Schapirze i pięciu jego wspólnikom, (między nimi jest jedna kobieta). Obwinieni są oni o oszustwo, popełnione przez to, że wyłudzali od ludzi pieniądze, ofiarując im na sprzedaż wrzekomo fałszywe banknoty austryackie i rosyjskie. Schapira i jego towarzysze zaprowadzali zwykle swe ofiary do Londynu, Rotterdamu, Berlina, Wrocławia, lub jakiegoś innego punktu nadgranicznego, gdzie pod groźbą policyi wyłudzali pieniądze. Akt oskarżenia opowiada o dziewięciu faktach dokonanych oszustw, a dwunastu usiłowanych.

Oskarżeni zaprzeczają i utrzymują, że są niewinni, ale popadają w swych odpowiedziach w mnóstwo sprzeczności.

Arco 18 lutego, godz. pół do I-ej. Arcyksiąże w agonii; lada chwilę oczekują zgonu.

Arco 18 lutego. Arcyksiąże Albrecht o godzinie I. w południe umarł.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 17 lutego. L. hr. Komorowski z Rosyi. W. hr. Olizar z Hladek. T. Sozański z Tarhanowiec. T. Wysocki z Uwina. S. Matkowski z Szczerca. Dr. Guńkiewicz z Krakowa. B. Kersten z Wiednia. A. Kreidl z Pragi. W. Zahajsky z Pragi. S. Jarmuch z Dworca. W. Barański z Łuki. K. Zerygiewicz z Żydaczowa.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 17 lutego. Hrabina Krusentjern z Niemirowa. Bolesław Piłatowski z Brodów. Zdzisław Nanowski z Przemyśla. Ks. Partycki z Targowicy. M. Goldenring z Wrocławia. E. Tomaselli z Padwy. R. Rongetti z Piacency. G. Strasser z Hundsheimu. M. Enzinger z Hochwolkersdorfu.

Nadesłane.

Zamiast w sobotę 23 b. m. odbędzie się w czwartek 21 lutego 1895 wieczorek z tańcami. *Kasyno miejskie.*

Podziękowanie.

Wielmożnemu **Drowi St. Janie** za nadzwyczaj troskliwe i staranne wyleczenie naszej ukochanej Matki z nader ciężkiej choroby piersiowej, składamy niniejszem najgoretsze podziękowanie. Oby Cię przezacny panie Bóg Najwyższy dla dobra cierpiącej ludzkości w jak najdłuższe lata w zdrowiu zachował.

Wdzięczni Jadwiga i Bronisław Błoccy.
Lwów 17 lutego 1895 r.

Lwów dnia 18 lutego (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 218·50 do 221·50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 310.— do 313·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 450.— do 460.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 102·—, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— 100·70, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·80 do 101.50, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·50 do 98·20 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·30 do 99·—, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97·80 do 98·50, 4 proc. los. w 56 lat. 97·70 do 98·40.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97·80 do 98·50 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.00 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 —·—, 4 pół proc. 100.50 do 101.20, 4 proc. z r. 1891 97.80 do 98·50, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·— do 98·70.

Monety. Dukat cesarski 5·79 do 5.89, Napoleondor 9.79 do 9.89, P. Imperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.28 do 1.33, 100 marek niemieckich 60.40 do 61·—.

Wiedeń 18 lutego (godz. 11 w południ.) Kredyty 415.75, kred. węg. —.—, Anglobanki 184.50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 289.—, Akcye tyton. 241.25, Staatsbahny 399.—, Lomb. (z kup.) 107.35, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —·—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.55, Losy tureckie —·—.

33)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— Na Boga! pod samym progiem naszym!— zawołał tchu pozbawiony. — Leć co prędzej do dzieci i pod żadnym pozorem nie puszczaj tu kobiet. I poślij natychmiast po doktora i policyanta... a przykaż im, aby pary z ust nie puścili, rozumiesz? A wypraw kogo na spotkanie tych, co są w kościele.

Jednym skokiem Ryszard był na miejscu. Bolesne wrażenie sprawił mu widok wyłaniającego się z zaspy trupa pięknej i młodej kobiety, osłoniętej płaszczem bujnych, czarnych włosów. Twarz była kredowa blada i spokojna, a powieki miała zamknięte jakby spała. Choć oswojony był z widokiem śmierci na polu bitwy, jednakże uczuł się wstrząśniętym do głębi. Tłumiąc wzruszenie, jął ostro łajać Boba, któremu ręce przy tej pracy dygotały jak w febrze, a lica zbielały niemal tak, jak ta twarz martwa, którą miał przed sobą.

Ale Bob Ryall nie słyszał niepochlebnych epitetów kapitana; w mózgu jego wirowała uporczywie jedna myśl tylko: I to pan mój... to pan Andrzej przyłożył do tego ręki!...

Gracya w poważnem usposobieniu powracała do domu, przejęta rytuałem nabożeństwa i duchem modlitwy, którą słała do nieba za swoich ukochanych. Państwo Marlowe, zaprosiwszy na śniadanie proboszcza i dwie stare panny samotnie zamieszkujące w wiosce, szli rozmawiając z nimi o uroczystościach parafialnych, dobroczynnych planach, a wreszcie o tanecznej zabawie, która miała się jutro odbyć we dworze. Obawiano się tylko, czy goście z przyczyny złych dróg przybędą w dość licznym komplecie.

Gracya tymczasem rozmyślała nad dziwną zmianą, jaka zaszła w Andrzeju od owego dnia ślizgawki na jeziorze. Zdawał się unikać jej, był poważny, zamyślony i w oczach miał wyraz dziwnego znużenia i jakby skrytego bólu. Czyżby zobojętniał dla niej? A jednak przypomniała sobie ten namiętny pocałunek, który wczoraj w sali wycisnął na jej ustach, tę pieszczotę jego zamglonego cierpieniem wzroku, którego zdawał się nie módz oderwać od niej. Jakaś straszna tajemnica zdawała się go dręczyć. Ruchy jego były tak gorączkowe, spojrzenia tak niespokojne... Czyżby był chorym? A może ona tylko wymyśliła sobie coś w swojej wyobraźni i przesadzała, jak zwykle czynią kobiety. Może to leżało w zwykłym porządku rzeczy, że to, czego się pragnie, nigdy nie wydaje się tak pięknem w posiadaniu, kiedy Andrzej jako narzeczony, tak odmiennym było od tego, który tak długo skrycie kochał się w niej, nie mogąc się zdobyć na odwagę wyznania jej swojej miłości. W takim razie bywajcie zdrowe różane marzenia młodości! Trzeba życie brać ze strony poważnej i smutnej. O! jak mądrze radził Tomasz à Kempis, żeby zadawalniać się małem, a nie żądać, ani spodziewać się niczego!

A jednak słońce świeciło tak jasno na tym Bożym świecie, dzwony rozbrzmiewały znowu tak radośnie, ludzie dokoła niej rozmawiali tak wesoło, że i jej zrobiło się lżej na sercu. A oto na zakręcie drogi czekał ich Andrzej, który pośpiesznie zatrzymał całe towarzystwo.

— Nie chodźcie dalej — prosił. — Poczekajcie trochę. Chciałbym was przeprowadzić przez taras, ale nie można, bo śniegu tam po pas. Przykra scena rozgrywa się tam przed domem. Panie mogłybyście się przestraszyć; przyszedłem was ostrzedz.

Mówił tak spokojnie, że wszyscy zaciekawieni więcej niż zatrwożeni otoczyli go dokoła. Jedna tylko Gracya odgadła, że coś niezwykłego kryje się pod lodową maską tego sztucznego spokoju.

— Oszczędź naszych nerwów— uśmiechnęła się matka — i powiedz odrazu, czy się sadze zapaliły w kominie, czy też rury od wodociągów popękały?

— Nie — odparł. — U drzwi naszych stał się smutny wypadek.

Wziął ojca na bok i idąc opowiedział mu co się stało; tymczasem Gracya obdarzona wybornym wzrokiem, zdala już spostrzegła kilku ludzi pochylonych nad czemś czarnem u stóp sosny.

Okrzyk przerażenia wyrwał się z jej ust.

— Boże mój! to była ludzka istota, a my takeśmy się śmiali z niej!...

Doktór przybył już na miejsce razem z policyantem. Cała służba dworska zbiegła się na dziedziniec. Odsłonięto już całą górną część korpusu sztywno stojącej postaci o bladej, sennej twarzy, zwróconej ku oknu; teraz odgarniano śnieg ze stóp. Andrzej, idąc o parę kroków w tyle za innymi, po raz pierwszy spojrzał na rysy zmarłej swej żony. Nikt go nie widział, z wyjątkiem Boba Ryalla, który rzucił nań z boku przelotne, wylęknione spojrzenie i zabrał się napowrót do roboty, czując jakiś chłód śmiertelny, chwytający go za piersi.

— Już od niewiem wielu godzin przestała żyć — zawyrokował doktór. — Musiała umrzeć o wiele wcześniej, zanim ją śnieg zasypał.

— Och! — zawołała z najgłębszą boleścią Gracya, której każde słowo jak ostrzem sztyletu przeszywało pierś Andrzeja — oh! ona biedna była obłąkana! To ta sama nieszczęśliwa istota, która przyszła wtedy na lód... poznaję ją! Musiała znużona i zziębnięta błądzić po śniegu w noc ciemną, wtedy gdy my grzaliśmy się u tego kominka! Musiała nas widzieć... o Boże!... Być świadkiem naszego szczęścia!... Musiała słyszeć nas śmiejących się i śpiewających wesoło! Boże mój! jakże to okropnie pomyśleć... O! Andrzeju!

I drżąca cała z przerażenia i litości zwróciła się ku niemu, ale on stał milczący i jakby skamieniały w miejscu, z twarzą zasłoniętą ręką, bledszy tylko nieco niż zwykle.

— Zabierz ją stąd Andrzeju — szepnął mu ojciec. To nie dla niej widok...

Lecz Andrzej nie zdawał się nic słyszeć. Nie drgnął i nie odpowiedział nic. Ze wszystkich twarzy otaczających tego bladego trupa nieznanej kobiety jego jedna tylko nie wyrażała współczucia, ani grozy. Jakaś kamienna martwota osiadła na niej.

— Ciekawy jestem — odezwał się bardzo wolno w chwili, gdy niesiono trupa na noszach do pałacu, ojciec jego bowiem był zbyt gościnnym, aby odmówić schronienia nawet zwłokom obcej kobiety — ciekawy jestem, czy ta biedaczka miała jakich przyjaciół?

Koniec tomu pierwszego.

ROZDZIAŁ I.

Chata Krzysztofa Nibletta, stangreta dworskiego, stała na małem wzniesieniu, prawie, naprzeciwko wjazdowej bramy do parku Cottesloe Grange. Stary cis o zgarbionym pniu roztaczał swoje rozłożyste konary po nad małym trawnikiem, w pośrodku którego ustawiona była drewniana ławka, służąca za miejsce spoczynku letnią porą, a obecnie zasypana śniegiem, pokrywającym dach i sąsiednie krzewy. Z po za przymkniętych do połowy okiennic światło przedzierało się z wnętrza izby przystrojonej odświętnie. Suty ogień palił się na kominie, roznosząc dokoła zapach piekących się w popiele kasztanów i herbaty syczącej w blaszanym kociołku; nawpół wypróżnione butelki, stos cytryn, duży pozłocisty kołacz i szklana cukiernica stały na stole przysuniętym pod same okno, aby zrobić miejsce dla gości, tak szczelnie napełniających pokój, że dwóch, czy trzech wyrostków musiało stać dla braku krzeseł. Rozmawiano o wypadku zaszłym we dworze, a każdy z obecnych dorzucał jakiś szczegół, komentując fakt po swojemu.

— To bicie dzwonów pogrzebowych w taki dzień omało że nie przyprawiło mnie o chorobę — mówiła mistress Carter, żona stolarza, którego najstarszy syn, Ben, robił tymczasem słodkie oczy do Marysi Niblett, usiłując pochwycić ją wpół i pocałować pod gałązką zawieszonej u sufitu jemioły. — I pomyśleć sobie, że to biedactwo zeszło tak marnie ze świata i że nikt nawet z rodziny nie upomniał się o ciało!

— W tem jest coś — możecie mi wierzyć na słowo — zawyrokował Giles Stone, ogrodnik.

— Śledztwo to wykryje — rzekł pisarz Wace, który przyniósł z sobą skrzypki i niekiedy smyczkiem przeciągał po strunach. — Dziś nikt z nas nic nie wie, ale dałbym głowę, że kryje się w tem jakaś nieczysta sprawa. Pocóżby ona tam przyszła podczas takiej zamieci? Musiała mieć jakiś powód.

— Nie była przy zdrowych zmysłach — wtrąciła Marysia Niblett. — To jakaś Francuzka. Widziałam ją, jak przyskoczyła do naszych państwa na ślizgawce i plotła od rzeczy machając rękami.

— Już to mnie się widzi, że nie była ona taką waryatką, za jaką ją podajecie — zaprzeczył ogrodnik, potrząsając głową. — Ktoś tam niewątpliwie ma ją na sumieniu i odpowie za nią przed Panem Bogiem. Nasi panicze to byli łobuzy... ho! ho!...

— To prawda — potwierdziła gospodyni domu. — Nieraz, pamiętam, milady mówiła do mnie: „Kto ma chłopców, ten ma kłopoty. Cieszcie się, matko, że wam Bóg dał dziewczęta.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z c. k. Namiestnictwa.
L. 85?4.

Obwieszczenie.

O pokrycie zapotrzebowania ogierów w r. 1895 przez zakupno ogierów prywatnego chowu krajowego w Galicyi.

B. k Ministerstwo rolnictwa pragnąc pokryć zapotrzebowanie ogierów stadnych jakie się okaże dla c. k. stacyi ogierów rządowych po upływie tegorocznego peryodu stanowienia o ile możności przez zakupno ogierów pochodzących z prywatnego chowu krajowego, zaprasza niniejszem wszystkich dostawców i właścicieli koni, aby **najpóźniej do końca kwietnia bieżącego roku** zgłosili pisemnie do c. k Ministerstwa rolnictwa ogiery, jakie mają na sprzedaż.

Wniesione zgłoszenia będą udzielone komendzie stacyi ogierów rządowych w Drohowyżu celem zanotowania zgłoszonych ogierów.

Ewentualne zakupno zgłoszonych ogierów będzie uskutecznione w ciągu jesieni na podstawie osobnego upoważnienia c k. Ministerstwa rolnictwa przez komendę stacyi ogierów rządowych w porozumieniu z komitetem doradczym dla spraw chowu koni w Galicyi, powołanym do współdziałania w sprawach krajowego chowu koni, w sposób dotychczasowy, w miarę potrzeby i rozporządzalnych środków pieniężnych

Wniesienie zgłoszenia ogiera do zakupna na ogiera stadnego, nie ogranicza właściciela w prawie zamierzonego w czasie pośrednim innego rozporządzenia swoim ogierem, tak samo jak z drugiej strony przyjęcie przez c. k Ministerstwo rolnictwa zgłoszenia, nie wkłada na Ministerstwo obowiązku zakupna zgłoszonego ogiera, nawet w tym razie, jeżeli ogier jest zupełnie odpowiedni. Każde zgłoszenie ogiera ma zawierać jego pochodzenie, wysokość, maść, wiek i cenę, dalej miejscowość w której ogier może być obejrzany.

Pochodzenie ogiera tak ze strony ojca jak i matki należy legalnie wykazać.

Co do wieku zgłoszonych ogierów zauważa się wyraźnie, że tylko takie ogiery będą mogły być oglądane i ewentualnie zakupione, które w czasie ich zgłoszenia, jeżeli są pochodzenia szlachetnego (dem Gestütschlage omgehören), ukończyły właśnie trzeci rok, jeżeli zaś są krwi zimnej, drugi rok życia.

Zgłoszenia takich ogierów, które nadeszły jeszcze do wieku wyżej oznaczonego nie będą uwzględnione

Zgłoszenia ogierów, które będą wniesione do c. k. Ministerstwa rolnictwa dopiero po upływie wyżej oznaczonego terminu, będą mogły być uwzględnione, dopiero w drugim rzędzie, mianowicie tylko o tyle, o ileby zapotrzebowania ogierów co do rodzaju i liczby nie mogło być pokryte przez zakupno ogierów wcześnie zgłoszonych.

Wiedeń w styczniu 1895.

Z c. k. Ministerstwa rolnictwa.

L. 326.

Konkurs.

Przy Wydziale powiatowym w Rudkach jest do obsadzenia posada inżyniera z roczną płacą 1000 złr. i ryczałtem na wyjazdy płatnym w miesięcznych ratach z góry, w kwocie 400 złr.

WARUNKI:

1. Nieprzekraczalny 40 rok życia.
2. Znajomość obu języków krajowych.
3. Świadectwa z dotychczasowych zajęć.
4. Ukończone studya techniczne i odbyte oba egzamina państwowe

Przytem ci technicy, którzy się wykażą praktyką w dziale drogowym i budowlach wodnych będą mieli pierwszeństwo.

Posada nadaną będzie prowizorycznie na lat dwa, poczem może nastąpić stabilizacya.

Podania należycie udokumentowane należy wnosić do Wydziału Rady powiatowej najdalej do dnia 15 marca 1895.

W Rudkach dnia 12 lutego 1895.

Sekretarz **Piotr Zorożek** Prezes **Andrzej Fredro.** 589 I - 2

Odpowiedzialny redaktor. Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego, Zarządca W. Fedyk